Numer wielkanocny — A. Poleska: Białoczerwony wieniec - Z. Marynowski: Nowy Świat - J. Jasnowski: Projekt nieba na ziemi — **Cena 1 sh**

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

Rok IV. — Londyn, niedziela 9 kwietnia 1950 — Nr. 15 (146)

JAN TOKARSKI

BÓG ŻYWY LUDZI ŻYWYCH

KIEDY Jezus zmartwychwstał, pierwszymi, którzy uwierzyli w ten fakt niepojęty, byli nie Jego uczniowie, lecz wrogowie — przedniejsi kapłani i faryzeusze. Uwierzyli po to, aby do zbrodni Bogobójstwa dodać grzech nowy, kłamstwa i przekupstwa. Za życia Jezusa godzili się z wielu punktami nauki Tego, który nie przyszedł przecież rozwiązać zakonu i proroków, lecz wypełnić. Uznawali Jego moc cudotwórczą, byli bowiem wychowani na księgach, które na każdej stronie mówiły o bezpośredniej interwencji Boga w losy człowieka i świata. Rozpoznawali wygląd nieba, lecz znaków czasu rozpoznać nie umieli. Nie umieli — i nie chcieli. Uczniowie zaś, którzy z razu nie uwierzyli, stali się potem świadkami i całym życiem głosili Jezusa ukrzyżowanego i zmartwychwstałego.

Żydzi wierzyli w absolutną transcendencję Boga. Synostwo Jezusa Chrystusa, równego Ojcu było dla nich bluźnierstwem. Jezus został skazany na śmierć nie tylko za to, że bezlitośnie obnażał obłudę faryzeuszów i kapłanów, że otwarcie potępiał ich bezduszny formalizm i mnożenie ciężarów zakonu, których nie nosili sami, ale i za to, że mienił się równym Bogu. Na ten straszliwy wyrok na Syna Boga Żywego można więc także patrzeć jako na tragedię religii odcieleśnionej, religii nieruchomego Absolutu — najdalszego obwodu wszystkich rzeczy.

Bóg był tak daleko od świata, odgrodzony tylu setkami przepisów — nakazów, zakazów i schematycznych modlitw, że stał się albo groźną Ideą, posępnym Cieniem, Chmurą kar bijących w człowieka, albo jakąś — jeśli tak wolno powiedzieć nieruchomością absolutu, który można było całkowicie zneutralizować przez mechanikę wspomnianych nakazów, zakazów i formułek modlitewnych obejmujących wszystkie niemal okazje i czynności z fizjologicznymi włącznie. Stał się Duchem, który żąda tylko kultu, a nie życia. Ludzie mieli Boga, ale Bóg nie miał ludzi. Religia zaś była samą wiarą, żarliwą nawet, fanatyczną, ale bez siły przemieniającej oblicze ziemi.

Powiedział gdzieś Chesterton, że encyklika Leona XIII „Rerum novarum", która miała przynieść wyzwolenie robotnikom, w wykonaniu katolików stała się środkiem jeszcze większego ucisku. Katolicy bowiem wzięli z niej to tylko, co im się wydawało, co chcieli, aby im się wydawało — petryfikacją kapitalizmu i zasady własności, a odrzucili wszystko, co w niej było nakazem sprawiedliwości i obowiązkiem wyzwolenia. — Otóż coś podobnego, tylko na wielką skalę, bo z całością religii, nastąpiło u Żydów. — Przecedzała komara, jak mówił Jezus, ale połykała wielbłąda. Niebu przeznaczony był dźwięk srebrnych trąb świątyni i dymy ofiarne czczego kultu, ale człowiek został sam na ziemi. I zostawała dla niego ziemia ze swymi sprawami, z prawami wielbłąda przeciw komarom. Toć przecież widomym znakiem błogosławieństwa Jahwe były dostatki, była obfitość i tłustość, było zdrowie, powodzenie, wiele dzieci. Nabożnym, Bogu miłym był tylko ten, komu On wyraźnie błogosławił tymi oczywistymi znakami Swej łaski. To była jawna nagroda za przestrzeganie zakonu. Kto tego wszystkiego nie miał, kto był ubogi, nędzny, kto był chorym, kaleką, na tym spoczywało wyraźne przekleństwo. Zgrzeszył on albo rodzice jego... Dlatego też Mesjasz oczekiwany był jako ten, z którym przyjdzie zewnętrzna pomyślność. Dzięki niemu Izrael zapanuje nad wrogami, poniży wszystkie narody i obróci je w niewolników. Na granicach Palestyny kończył się świat a przeznaczeniem wszystkiego, także Boga, była chwała Izraela. Dlatego też wyrok na Syna Człowieczego będąc tragedią religii odcieleśnionej, jest równocześnie tragedią religii materialistycznej, nacjonalistycznej, ograniczonej do jednego miejsca na ziemi i traktującej resztę świata jako wieczysty spisek.

Te dwie pokusy — religii odcieleśnionej i religii materialistycznej, teologii czystego spirytualizmu i — jak to ktoś drastycznie określił — teologii trawienia, nawiedzają także chrześcijan. Od dwu wieków stały się faktem, odkąd dokonał się rozdział rzeczy i pojęć, które chrześcijaństwo godzi z sobą. Jest ono bowiem pełnią rzeczywistości. Jest w nim miejsce na ducha i materię, na przyrodzoność i nadprzyrodzoność, na mistykę i ekonomię, na uniwersalizm i przywiązanie do rzeczy wyraźnie określonej, na miłość ludzkości i swego kraju, na pokój i miecz, na radość i cierpienie, na szczęście i ból. Ale przesadne podkreślenie jednego z elementów na niekorzyść drugiego burzy równowagę tego Boskiego paradoksu, jakim jest chrystianizm.

Z Lutrem weszło w świat rozdzielenie usprawiedliwienia Bożego od obowiązku uświęcenia osobistego, Łaski od wolności, religii od moralności, wiary od nauki, natury od nadnatury. Rozdziału dopełnił kalwinizm. Jeśli bowiem zbawienie jest wyrokiem absolutnego Majestatu, zapisanym przed początkiem czasów, jeśli jest ono całkowicie niezależne od osobistego wysiłku człowieka, to wreszcie ten wysiłek staje się zbyteczny. Bogu zostaje oddane niebo, a człowiekowi ziemia. Pomiędzy Stwórcą absolutnie transcendentnym, negującym wszelką stronę ludzką człowieka, a człowiekiem rodzi się przepaść nie do przebycia. — Zostaje Bóg bez człowieka.

Ale równocześnie jeśli człowiek nie ma cząstki z Bogiem, Bóg jest mu niepotrzebny. I oto historia, oto tak zwana nauka, oto filozofia zaczynają głosić śmierć Boga, a Nietzsche już słyszał w swej duszy głos dzwonów zwiastujących Jego pogrzeb. Ziemia wystarcza, na ziemi zostanie odnaleziony raj. — Zostaje człowiek bez Boga.

Kryzys Boga i kryzys człowieka Boga bez ludzi i człowieka bez Boga stają się jednym uniwersalnym kryzysem świata.

Jak początkiem obu kryzysów była zatrata właściwego pojęcia Boga-Człowieka, tak wyjście z nich jest w [illegible] umiłował świat, że Syna Swego jednorodzonego dał, aby każdy, który weń wierzy, nie zginął, ale miał żywot wieczny. Bóg nie jest nieruchomością Absolutu, choć jest Panem; nie jest obojętnym Majestatem, negującym człowieka, chociaż jest Stwórcą wszystkiego z nicości: Jest Bogiem żywym ludzi żywych, który przez Syna swego zaangażował się w świat. „Jam cię ukochał nie na żart" — mówi do bł. Anieli z Foligno, a przez nią i do każdego z nas Bóg-Człowiek. Ukochał nas nie na żart w ubóstwie swego niemowlęctwa i dzieciństwa, w odepchnięciu Go przez Żydów, w zdradzie Judasza, w agonii Ogrójca, w męce krzyża i chwale Zmartwychwstania. Stał się nam we wszystkim podobny, oprócz grzechu, aby jako Ofiarnik i Ofiara jednał nas bezustannie z Bogiem.

Św. Tomasz przypomina, że Chrystus był przyczyną Swego zmartwychwstania przez Bóstwo Swoje, a nie przez człowieczeństwo. W tym suchym stwierdzeniu Doktora Anielskiego otwierają się przed nami zawrotne horyzonty. Jak przez unię z Boską Osobą Słowa Człowiek Jezus niczego nie roniąc z Swej ludzkiej natury, całą ludzkość podniósł do porządku nieba, do porządku nadprzyrodzonego, tak każdy człowiek z Nim i w Nim zmartwychwstający otrzymuje pomazanie Boże na wszystko, co leży w zakresie działania jego natury, nie tylko na akty religijne, ale na wszystkie dzieła myśli i rąk. Jest zdolny nie tylko modlitwę, ale całą cywilizację oddać — jako modlitwę — Temu, „którego są wszystkie rzeczy".

Dlatego w dzień Wielkanocy łączmy się z Kościołem naszym, który śpiewa we Mszy: „Hołd Ofierze Wielkanocnej składajcie chrześcijanie. Jagnię zbawiło owce: Chrystus niewinny z Ojcem znowu pojednał nas, grzeszniki... oto zmartwychwstał Chrystus prawdziwy: zwycięski Królu, bądź miłościwy. — Alleluja"!



Portal południowy Katedry w Chartres (XIII wiek)

JEZUS CHRYSTUS WCZORAJ I DZIŚ, TENŻE SAM I NA WIEKI (Żyd. 13,8)

ALEKSANDRA POLESKA

BIAŁOCZERWONY WIENIEC

POPRZEZ grono zmieszanych dworaków śmierć wsunęła się cicho do komnaty wielkiej królowej i znalazła ją nawpół przytomną, od wielu dni odmawiającą jedzenia i spoczynku, a nawet tej niezawodnej osłody, jaką zwykle w chwilach ciężkiej depresji stanowiły pochlebstwa i komplementy młodych rycerzy. Podczas jednej z chwil powrotu świadomości Elżbieta zażądała prawdziwego zwierciadła, jakiego nie używała od lat, i ujrzawszy swą twarz wyschłą, a jednocześnie jakby spęczniałą od niezdrowej puchliny, wyraziła szydercze zdziwienie nad gustem tych, którzy do ostatniej chwili zapewniali ją o nadziemskiej urodzie. Kiedy Lord Howard próbował ją skłonić, aby położyła się do łóżka, odpowiedziała z uśmiechem straszniejszym od grymasu:

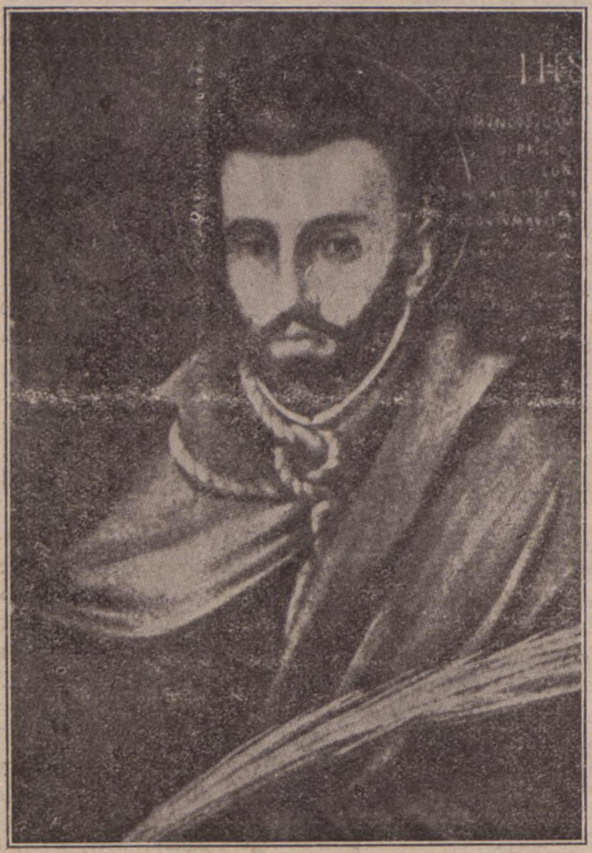
— Gdyby mary nocne i koszmar senny miały taki dostęp do ciebie, jak mają do mnie — nigdybyś nie spędził nocy w swojej łożnicy.

Zbliżał się koniec. Arcybiskup Canterbury i inni dostojnicy Kościoła anglikańskiego usiłowali ją namówić do skorzystania z pociechy religijnej, ale kazała im pójść precz, wołając, że nie są naprawdę pomazańcami Bożymi i przeto nic jej pomóc nie mogą.

O czym myślała leżąc na podłodze — na wysoko spiętrzonych poduszkach — ostatnia przedstawicielka rodu Tudorów, dziecko ambitnej rodziny, która nie wahała się oderwać Wyspy od Rzymu i Europy i pchnąć jej przeznaczenia na nowe tory? Czy w majaczeniach konającego mózgu ukazywała się jej zjawa Essexa, długoletniego faworyta, straconego zato tylko, że zawiódł królową jako kobietę i zranił jej próżność? Czy pojawił się smukły cień Marii Stuart, o twarzy jak klejnot w oprawie z koronki, którą Elżbieta kazała zgładzić, nie tylko ze strachu przed katolickim następstwem tronu, ale także dla tego, że ta piękna i lekkomyślna kobieta była żywym wyrzutem jej sumienia? Czy może po zalanej księżycem posadzce wionął cichy duch Edmunda Campiona, Jezuity i uczonego, ostatniego rycerza angielskiego średniowiecza, który modląc się do końca o szczęście Anglii i królowej, zginął w męczarniach za zbrodnię wyznawania prawdziwej wiary?

* * *

Lato roku 1566. Cały Oxford wyległ na ulice, aby przyjrzeć się hałaśliwemu orszakowi władczyni, która po raz pierwszy zawitała do siedliska nauki i namiętnych sporów religijnych. Sympatie uniwersytetu w większości były wciąż wyraźnie katolickie, ale Elżbieta, kochająca naukę i literaturę klasyczną, przymknęła trochę oczy na papistowskie herezje. Uniwersytet sławny na cały świat musi powrócić do dawnej, przedreformacyjnej świetności — oto ukryty cel jej wizyty. Z resztą Kościół anglikański dopiero się rodził... Sama królowa — jak wszyscy Tudorowie — była raczej katoliczką z temperamentu, lubiła w kościele świece, witraże, kadzidło; niektóre dogmaty zwalczała raczej tylko dlatego, aby zrobić na złość Piusowi V, który z dalekiego Rzymu, jak groźny cień, chylił się nad duszami jej poddanych. Dwa lata wcześniej, gdy królowa raczyła przybyć do Cambridge — studenci wystawili pantominę, gdzie główną atrakcją był pies, tańczący po scenie z Hostią w zębach... Oxford przyjmował ją inaczej. Młody Edmund Campion o lancashirskim akcencie i włoskich oczach, których płomień krył się pod śniadymi powiekami — wygłosił po łacinie zręczne przemówienie powitalne, które zachwyciło królową. Potem nastąpił popis naukowy i tu ten sam Campion w długim wykładzie tłumaczył, że przypływy i odpływy morza powstają pod wpływem księżyca... Zawsze chciwy świeżej sensacji dwór — śledził z napięciem narodziny nowej, wspaniałej kariery; ten człowiek za lat kilkanaście będzie może poruszał tajnymi sprężynami polityki królestwa. Jakby zgadując myśli otaczających, Elżbieta przed odjazdem oddała go w opiekę swego faworyta Cecila. Od tego dnia najmłodsi studenci nie tylko naśladowali argumentację Campiona, ale nawet jego sposób mówienia i ubrania. Rosły szeregi „campionistów".



BŁ. EDMUND CAMPION
umęczony 1 grudnia 1581

Lata biegły i studia posuwały się naprzód. Godności lokalne, dwa doktoraty, a wreszcie odpowiedzialny urząd proktora — piętrzyły się na barkach młodego, wesołego uczonego. Jednak, aby zdobyć katedrę na uniwersytecie, trzeba było należeć do społeczności kościoła anglikańskiego. Tymczasem w miarę rozczytywania się w pismach Ojców Kościoła Edmund nabierał coraz głębszego poczucia, że Kościół narodowy Elżbiety i Cecila nie jest kontynuacją Kościoła apostolskiego i nauki Chrystusa. Następują nocne dyskusje z przyjaciółmi: wielu myśli podobnie, ale doradzają ostrożność i milczenie. Jakże często zdarza się — powiadają — że ksiądz anglikański przed pójściem do uznanego kościoła odprawia w domu, w tajemnicy, mszę św. dla swych najbliższych. Dlaczegoż nie zdecydować się na kompromis: prywatne życie religijne z jednej, a godności i kariera z drugiej strony?

Campion był uczonym z powołania, a mistykiem z wrodzonych skłonności. Jako człowiek stojący na pograniczu średniowiecza i renesansu i to w okresie niebywałej prężności twórczej narodu angielskiego — wyposażony równocześnie w prawdziwą żarliwość religijną, i w owoce nowej nauki oraz instynkt rządzenia, miał wszystkie dane nato, aby rozwinąć się w wielkiego człowieka i zaznaczyć trwale swą ziemską wędrówkę na szlaku Europy. Zamiast tego jednak wybrał samotność, cierpienie, tułaczkę i hańbiącą śmierć. I wybrał je świadomie. Wahał się jeszcze, kiedy wielu przyjaciół uniwersyteckich decydowało się na emigrację do Francji i Belgii, aby uniknąć składania przysięgi na wierność królowej jako głowie oficjalnego Kościoła. Za słuchanie mszy nawet w ukryciu groziła już kara pieniężna albo więzienie. Wreszcie Campion wyjeżdża do Dublina dla dokończenia w spokoju monumentalnej Historii Irlandii, która postawiła go odrazu w rzędzie czołowych stylistów prozaików złotego wieku.

Jednym z ognisk przymusowej emigracji była miejscowość Douai w Belgii. Młodzież zwłaszcza szukała tam schronienia, odkąd kardynał Allen założył seminarium duchowne dla tych, którzy z powodu swych przekonań zmuszeni byli do przerwania studiów w ojczyźnie. Allen był postacią niezwykłą. Jeżeli osobowość Campiona możnaby z największym prawdopodobieństwem wtłoczyć w ramy poematu Chaucera, to Allen niewątpliwie bardziej nadawałby się do dramatu Szekspira czy Webstera. Był on najlepszym wcieleniem typu dostojnika kościelnego Odrodzenia, który służbę Kościołowi potrafił łączyć z prowadzeniem polityki świeckiej w wielkim stylu. W Douai ciągle pojawiali się kurierzy z Rzymu, wysłannicy papieża, z nimi prowadził długie, tajemne rozmowy. Pełno też było szpiegów angielskich w okolicy i często zdarzały się zamachy na życie kardynała — znak nieomylny jego ważności politycznej. Ale studentom w liczbie około 200 nie wolno było mieszać się do ziemskich rozgrywek — dyscyplina w tym względzie była tak daleko posunięta, że nawet imienia królowej nikt nie ośmielał się wymówić publicznie. Campion, którego sława jako uczonego dotarła już na kontynent, przybył do Douai z Irlandii i przyjęty został z entuzjazmem. Natychmiast po przybyciu złożył wyznanie wiary, a po pewnym czasie otrzymał pierwsze święcenia. Seminarium Allena, znane było miejscowej ludności pod nazwą „szkoły męczenników"; kardynał pragnął wyszkolić jak najliczniejsze kadry młodego duchowieństwa katolickiego, aby je potem pokryjomu przerzucić do Anglii. Allen, którego z Campionem łączyły serdeczne stosunki, zezwolił mu na wstąpienie do zakonu Jezuitów i pielgrzymkę do Rzymu.

Rzym zrobił na nim wrażenie. Nie była to już dumna stolica papieży — protektorów sztuki. Okres bezkrytycznego zachwytu dla dzieł starożytności skończył się na długie lata. Nowy Rzym to miasto owiane atmosferą soborów, kontr-reformacji, pokuty i powagi. Uwierzyć trudno, że tak niedawno jeszcze po ulicach miasta rozbrzmiewały kroki Michała Anioła, a przejrzyste powietrze pełne było jego marmurowych wizji; rzeźby i posągi ukryto dobrze, aby nie świeciły nagością w publicznych galeriach. Wrażliwa dusza Campiona odczuwała ten nastrój ogólnej religijnej żarliwości — wyrosłej na wspaniałej przeszłości historycznej miasta. „Cóż pozostało z potężnej stolicy imperatorów — pisze z przejęciem w liście do przyjaciela — nic, tylko relikwie świętych i tron Rybaka".

Młody ksiądz wstąpił do zakonu Jezuitów i został po rocznym pobycie w Rzymie wysłany do Pragi. To miasto na krańcach ówczesnej Europy wybrano na jego nowicjat — zawsze należało do tradycji Jezuitów, by kształcić swych adeptów na pozycjach niebezpiecznych, zagrożonych. Z listów Campiona wynika, że ten okres w Czechach i na Morawach uważał za najszczęśliwszy w swoim życiu. Praca fizyczna, jakiej wymagano od nowicjusza, napełniała go entuzjazmem — podczas skrobania kartofli dla całego klasztoru przygotowywał argumenty do pamfletów religijnych przeciw kalwinistom; przyrządzając sos w kuchni, rozstrząsał zawiłe problemy filozoficzne. „Niczego innego nie pragnąłbym do końca moich dni"! Po skończonym nowicjacie dostał katedrę teologii i retoryki na uniwersytecie w Pradze. Życie wydawało się takie spokojne i szczęśliwe — czasem tylko przypomnienie przymusowego wygnania z ojczyzny zasępiało na chwilę wysokie, myślące czoło.

Pewnego dnia nadszedł list od Allena z wiadomościami i rozkazem powrotu. Campion został wybrany na wysłanie do Anglii wraz z garstką innych księży. Przed rozstaniem braciszkowie wymalowali mu nad łóżkiem olbrzymi wieniec z czerwonych róż i lilii — ówczesny symbol męczeństwa. Podróż do Rzymu trwała długie miesiące. Allen przygotował już tymczasem całą wyprawę krzyżową. Miało być przerzuconych 15 młodych księży i jeden biskup, gdyż dotarły wiadomości, że ostatni biskup katolicki Anglii dogorywa w więzieniu. Wyruszyli w drogę żegnani błogosławieństwami i podziwem tych, co zostawali. Ale biskup był już stary i przyzwyczajony do wygodnego życia, w Calais opuściła go odwaga i zawrócił do Rzymu, gdzie papież przyjął go nad wyraz zimno. Tymczasem młodzi księża zdecydowali się sami na przekroczenie kanału — po dwóch, nie więcej, aby nie budzić czujności szpiegów Walsinghama. Campion przebrany za kupca pod nazwiskiem „Mr. Edmunds" wylądował w Dover z przyjacielem. Stamtąd przedostali się wprost do Londynu.

Ogniskiem konspiracji katolickiej w stolicy był wtedy dom bogatego kupca Gilberta na Chancery Lane,

---

ZOFIA BOHDANOWICZOWA

Z cyklu: Msza święta

Podniesienie

Wniebowstąpił, a oto powraca co rana
Na jedno wyszeptane wezwanie kapłana;
Niknącego widzieli Go apostołowie
A On znowu przychodzi — wieczysty Wędrowiec,
Boski Pielgrzym, co chodzi w błękicie bezdroży
Między niebem i ziemią, wśród gwiazd, które stworzył,
I pojawia się oczom w krążku Hostii białej,
A duszy — w złotym blasku, na obłoku chwały.

Myśli ludzka ułomna, dumaj i rozważaj
Przedziwną tajemnicę Pańskiego Ołtarza!
Serce mdłe i ostygłe, zapłoń i rozgorzej!
— Pan jest! – zawołaj z Piotrem biegnącym przez morze.
Ziemio stokroć szczęśliwa, wśród planet wybrana,
Która w murach kościołów gościsz swego Pana,
Której ziarno i winną jagodę dojrzałą
Bóg codziennie przemienia w Swoją Krew i Ciało.
Któraś w godzinie Jego śmierci dygotała,
Zadrżyj, ziemio, i ogniem wulkanów zapałaj,
Grzmij falą oceanów, śpiewaj lasów liściem
I srebrną trąbą wichru witaj Pana przyjście!

Lecz Ten, co stworzył niebo i ziemię i morze,
W takiej ciszy przychodzi i w takiej pokorze,
Że płomień świec w ołtarzu w tej tajemnej chwili
Ani się zakolebie, ani się pochyli,
Płonie równo w błękitnych dymach i oparach
Jak niczym nieździwiona i spokojna wiara.

Człowiecze! On w tej ciszy obok ciebie przeszedł,
Jako niegdyś widzialny przechodził przez rzesze;
Wspomnij ślepca-żebraka, co Go widzieć nie mógł
I tylko jęk błagalny wznosił w mrok ku Niemu...
I ty wołaj w upadku pogrążony ciemność:
– Jezu, Synu Dawida, zmiłuj się nademną!

W DZIEŃ ZMARTWYCHWSTANIA



Drzeworyt A. Dürera

GHRYSTUS UKAZUJE SIĘ M. MAGDÀLENIE

WŁADZOM RZECZYPOSPOLITEJ – OPIEKUNOWI UCHODŹTWA POLSKIEGO J. E. X. BISKUPOWI J. GAWLINIE – PRZEWIELEBNYM KSIĘŻOM WIKARIUSZOM GENERALNYM – WIELEBNEMU DUCHOWIEŃSTWU – RODAKOM W KRAJU I NA EMIGRACJI – CZYTELNIKOM, WSPÓŁPRACOWNIKOM I PRZYJACIOŁOM NASZEGO PISMA

NAJSERDECZNIEJSZE ŻYCZENIA WESOŁEGO ALLELUJA

SKŁADA

REDAKCJA „ŻYCIA''
I KATOLICKI OŚRODEK WYDAWNICZY „VERITAS"

który ślubował czystość, dopóki ojczyzna nie powróci na łono prawdziwej wiary, i po wielu dobrych uczynkach umarł bezpotomnie. U niego istniała dobrze zakonspirowana melina przerzutowa dla nowoprzybyłych. Tam Campion schronił się na parę miesięcy i pisał pamflety w odpowiedzi na ulotki protestanckie, poruszające w mętny sposób podstawowe problemy wiary. Odrazu po przybyciu napisał odezwę, którą odbito w konspiracyjnej drukarni w tysiącach egzemplarzy, że nie ma zamiaru mieszać się do polityki, ale nigdy nie zaprzestanie swej misjonarskiej działalności, gdyż „postanowił zapewnić niebo swym współziomkom lub umrzeć na ich mieczach". Każdy problem religijny katolików był przez niego omawiany, aby ludzie wyznający prawdziwą wiarę nie mieli żadnych wątpliwości. Najbardziej palącą ze względów bezpieczeństwa była kwestia uczęszczania do kościołów anglikańskich. Przed soborem trydenckim wolno było katolikom chodzić do odebranych im kościołów, a nawet uczestniczyć w modlitwach, które przecież wyrosły bezpośrednio z tradycji katolickiej np. morning prayer. Sobór trydencki zabronił tych praktyk, co bardzo utrudniło życie katolikom angielskim, ale pozwoliło im oddzielić swe szeregi od odstępców. Były na tym tle wypadki nieporozumień i tak pewien Jezuita, nazwiskiem Bosgrave, który przez 16 lat pracował w Polsce, powrócił na wyspę na wakacje za poradą lekarzy, którzy myśleli, że mu pomoże klimat rodzinnego kraju. Zaraz po przyjeździe zapytano go, czy pójdzie do kościoła anglikańskiego, a staruszek nie wiedząc o zakazie zgodził się skwapliwie. Katolicy na wiadomość o tym zaczęli go zgodnie bojkotować i biedny Jezuita, który słabo już mówił po angielsku, o mało nie umarł ze zgryzoty. Wreszcie zdołano mu wytłumaczyć, że oskarżony jest przez opinię publiczną o zdradę, gdyż protestanci już roztrąbili o jego „nawróceniu". Przerażony Jezuita wydał publiczną odezwę, gdzie stwierdził swoją przynależność religijną, zaco oczywiście natychmiast go uwięziono. Po długich miesiącach skazany został na śmierć, którą to karę zmieniono mu potem na banicję. Natychmiast po zwolnieniu z wielką ulgą wyjechał do Polski.

Po roku w Londynie rozpoczął się uciążliwy okres objeżdżania katolickich ośrodków „w terenie". Campion wraz z drugim księdzem, zastępującym go w razie choroby — podróżował konno, ubrany w dostatnie szaty szlacheckie. Ponieważ katolickie domy pilnie były strzeżone przez płatnych szpiegów, których ludność wiejska nazywała „judaszami", więc każdy dwór posiadał tajne przejścia i komórki tzw. „priest's holes", gdzie w razie nagłego alarmu chowano przybory do mszy, kielich i szaty kościelne. Ludność katolicka, zdręczona nadmiernymi karami pieniężnemi (niektóre rodziny płaciły około £ 50.000 rocznie jako karę za niechodzenie do anglikańskiego kościoła) i ciągłą niepewnością, odsuwała się powoli od sakramentów i obserwowania praktyk religijnych. Tu było pole do popisu dla Jezuity, który nie tylko był autorytetem w sprawach dogmatycznych, ale zasłynął wkrótce jako natchniony kaznodzieja. Tam, gdzie zapał do katolicyzmu nie ostygł jeszcze i ludzie byli stęsknieni za mszą św. zwłaszcza śpiewaną, Campion musiał czasem odprawiać po kilka mszy, jedną za drugą, bo gospodarzom nie wystarczało jedno nabożeństwo. Po udzieleniu sakramentów księża wymykali się pocichu i nikt nie wiedział, skąd przyszli i gdzie jadą. Ich codzienne wyprawy stawały się coraz dłuższe i bardziej męczące, bo szubienica w Tyburn uginała się pod coraz nowymi ciałami i księży, którzy razem z nimi przybyli, ubywało.

„Nie długo już będę mógł unikać wpadnięcia w heretyckie ręce. Wróg ma tyle par oczu, tyle języków i tyle możliwości. Muszę stale żyć w przebraniu, tak że sam sobie wydaję się śmieszny. Często muszę zmieniać nazwisko. Czasem zdarza mi się czytać listy, w których znajduje się wiadomość, że Campion właśnie został pojmany. Codzień wydają przeciw nam nowe zarządzenia. Równocześnie zaś widzę, że wielu ludzi zapomina o własnym bezpieczeństwie byle tylko nas osłonić".

Campion nie mylił się. Pewnego dnia w Lyford podczas odprawiania mszy niedzielnej dla wszystkich katolików z okolicy — pomocnik domowego kucharza poznał Campiona, na którego głowę nałożona była nagroda i dał znać do posterunku wojska we wsi. Słysząc szczęk broni, gospodarze zmusili Campiona, który nie chciał się kryć, aby ze względu na ich bezpieczeństwo wszedł do komórki za ruchomą półką z książkami. Siepacze królowej trzy razy przetrząsali dom i już zabierali się do odejścia, gdy kryjówkę zdradził błysk świecy w szczelinie.

Rozliczne źródła historyczne wspominają, że Campion odniósł się ze słodyczą do tych, co przyszli go aresztować, że przez drogę dyskutował z nimi i jednego z nich zdołał nawrócić. Na czole Jezuity umieszczono napis: „katolicki buntownik", po przyjeździe do Londynu wtrącono go do Toweru, gdzie cztery dni spędził w całkowitej ciemności i bez jedzenia.

Następnie na życzenie królowej przyprowadzono go przed jej oblicze. Elżbieta o 10 lat starsza, wyglądała groteskowo w czerwonej peruce. Te lata, które dla Campiona były okresem wyrzeczenia i oczekiwania na męczeństwo, upłynęły dla niej jako nieprzerwany ciąg politycznych sukcesów. Tak jakby na przykładzie jej życia sprawdzało się poniekąd wierzenie prostych ludzi, że kto diabłu zaprzeda duszę i zrezygnuje z wiecznej szczęśliwości, ten doczeka się większego powodzenia w życiu doczesnym. Elżbieta pohamowała swoją pasję — było by złą polityką stracenie tego księdza w przeddzień jej zamierzonego małżeństwa z synem Katarzyny Medycejskiej. Zresztą Campion był jej potrzebny, niewielu posiadała ludzi takiego kalibru i autorytetu, a królowa zawsze potrafiła tłumić temperament, gdy miała jakieś cele polityczne do osiągnięcia. Więc zamiast obsypać go wyrzutami zaproponowała, iż zrobi go arcybiskupem Canterbury, jeżeli Campion wyrzeknie się śmiesznych papieskich przesądów.

„Moja cała chwała w tym, że jestem katolikiem". Zimne oczy patrzyły na niego z tronu św. Edwarda. Jezuita poraz ostatni już odsunął od siebie widmo godności, sławy, wielkości. A wiedział, że rezygnując z propozycji, że popierając z uporem sprawę w owej chwili straconą — wydawał na siebie wyrok śmierci.

Maszyna państwowa d z i a ł a ł a sprawnie i szybko. Następują tygodnie tortur, szpiedzy królowej rozpuszczają pogłoski, że Campion się załamał, że wydał przyjaciół, że popełnił samobójstwo. Nigdy nie dowiemy się, jakich argumentów używała władza świecka — znamy jedno tylko świadectwo współczesne dozorcy z Toweru, który widział, że więzień miał paznokcie u obu rąk wyrwane obcęgami. Aby odebrać jego procesowi doniosłość (królewicz francuski wciąż był jeszcze w Londynie, ale odmówił, gdy proszono go o wstawiennictwo za katolikami), oskarżono go o zdradę wraz z kilkunastu innymi księżmi i świeckimi. Wszystkich skazano na powieszenie i poćwiartowanie. W czasie ostatniej wyprawy, gdy Campiona prowadzono z więzienia na egzekucję, padał drobny, dokuczliwy deszcz. Garście błota, ciskanego przez Londyńczyków, ustawionych gęsto wzdłuż Cheapside, Holborn i zamiejskiej drogi zwanej dziś Oxford Street, oblepiły wkrótce twarz i suknię męczennika.

Szubienica czyli t.zw. Tyburn Tree wyrastała akurat w tym miejscu, gdzie dzisiaj zlewają się dwie arterje wielkomiejskie — Edgware i Bayswater Road. Pod cienką warstwą jezdni pokrytej gąsienicą samochodów śpią cicho kości męczenników, czasem jakaś naprawa nawierzchni ukaże je skonsternowanym oczom przechodniów i niebu rozciągającemu się nad Londynem jak wielki, siny klosz.

Dworscy eleganci obsiedli gęsto podnóże szubienicy i dorzucali wesołe uwagi, gdy kat wiązał postronek na szyi skazanego. Gwar i hałas był taki, że tylko najbliżsi słyszeli ostatnie słowa: „Niech będzie błogosławiona Anglia i jej władczyni — oby wiele lat jej panowania upłynęło w szczęściu i spokoju". Zacięto konie i pojazd usunął się spod nóg Jezuity.

Ciało ściągnięto na ziemię i kat zabrał się do ćwiartowania zwłok i wtedy zdarzył się dziwny wypadek. Najbliżej wzniesienia stał Henry Walpole, student z Cambridge znany ze swego złego trybu życia i wielkich zdolności. Jeden nieostrożny ruch oprawcy i czerwona plama krwi padła na świeże ubranie młodzieńca. Walpole opuścił natychmiast miejsce kaźni, wyrzekł się swego dotychczasowego życia i wyjechał do Francji. Po latach, gdy otrzymał już święcenia kapłańskie, powrócił do Anglii, by pracować wśród coraz srożej prześladowanych katolików. W piętnaście lat później został stracony w Yorku, także na szubienicy. Białoczerwony wieniec Campiona — widzialne ogniwo nieprzerwanej tradycji zwycięstwa przez śmierć — spoczął z kolei na jego skroniach.

Aleksandra Poleska

EDWARD E. CHUDZYŃSKI

„Ż y c i e"

W klepsydrach odmierza piasek
Szelestem godziny senne...
— Nie twoje, nie moje, nie nasze
Życie . . .
— Jak winobranie jesienne.

Błąka się w trop Beethovena,
Łka w Chopinowskim scherzo,
— Jak los do drzwi przeznaczenia
Puka w strudzonym sercu.

W Dunajca skalistym cieniu,
Lasów żywicznym zapachu,
Tiulowych firanek drżeniu,
Żelbetonowym gmachu.

W zachodzie słońca, w jeziorze,
W oliwnym kaganku nikłym . . .
Głowach schylonych w pokorze
Modlitwy . . .

W czołgach metalem zakrzepłych,
Zgiełkliwych, bitewnych milach.
Czerwcowych kolorach ciepłych
Zaklętych w skrzydłach motyla...

Życie . . .
Zamknięte w przestrzeni i czasie
Zagadki nierozwiązane.
Życie . . .
— Nie twoje, nie moje, nie nasze.
— Jesienne winobranie.

W żółtej świeżości jaskrów,
Ksiąg zakurzonych grzbietach,
Tysiącświecowym blasku
Kinkietów.

W chłodnej gotyckiej katedrze,
Narciarskiej skoczni rozbiegu.
Kartce, którą ktoś zedrze
Z kalendarzyka ściennego . . .

W słonym, sztormowym
zachłyście,
Bańce z mydlanej piany . . .
— W liście
Co nigdy nie będzie wysłany.

W srebrze siwizny na skroni,
Nadziei co przestrzeń skraca,
W dłoni,
Co strony mszału obraca . . .

Życie . . .
Panowie i Panie,
Tak nam się śni . . .
— Nie twoje, nie moje, nie nasze,
— Dziwne, zawiłe, tułacze.

Jesienne winobranie
Strudzonych dni.

Anglia. Londyn 25.VII.1949

JÓZEFA RADZYMIŃSKA

Strofa wiosenna

Pozdrawiam ziemię i kwiat
smukły,
kształt lilii wodnej i mój profil,
którego cień na drzewie smutnym
w rysunek dziecka się ułożył.

W zapach czeremchy wtulam
myśli,
a słowo gubię w pieśni ptaka,
który nad gniazdem swej samiczki
tworzy symfonię już bez zasad.

Zazdroszczę wodzie, kiedy
głaszcze
włosy przejrzyste wodorostom —
a na powietrzu srebrnym znaczę
do mego kraju wielkie mosty.

Słowa w pogodne rano

Błogosławione niebo, które
leczy łzy,
błogosławiona dłoń, która sieje
ziarno,
a także niech będą błogosławieni
żołnierze o umarłych oczach,
którzy tej wiosny nie zobaczą.

MARIA STRZAŁKOWSKA

A CO W

GDZIE jestem? Kto jestem? Samotny i obcy jak bajeczny Żyd, Wieczny Tułacz bez schroniska i bez ojczyzny. Il ne me reste que la religion et l'éspérance que l'on ne peut m'arracher (zostaje mi jedynie religia i nadzieja, której nikt nie zdoła mi wydrzeć). Cóż mi po Petersburgu, Londynie, świecie całym, skoro nie mogę odnaleźć mojej Ojczyzny i grobu?“

Niejeden z rozproszonych po świecie Polaków skarży się podobnie na swoje wygnanie i samotność jak Walery Łukasiński, w swych przedziwnych, przedśmiertnych rozważaniach. „Co w Polsce?...“ spytał więzień Schlusselburgski Bakunina po dwudziestu latach zupełnego odcięcia od świata. „Kto w Polsce?...“ i dowiedziawszy się, że Mikołaj, drgnął tylko, zaczął szybciej oddychać, potem wrócił na dalsze dwadzieścia lat do swego lochu.

Utraciwszy Ojczyznę zachowaliśmy obraz jej w sercu, ale obraz ten zaciera się z roku na rok. Wielu z nas pamięta Polskę przedwrześniową, której już nie ma i nawet trudno mu sobie wyobrazić Polskę obecną, okaleczoną i przemienioną, sponiewieraną przez niewolę i wywyższoną cierpieniem. To też ze szczególną uwagą i drżeniem przyjmujemy relacje tych, którzy ją widzieć mogli, którzy się jej dotknęli, którzy patrzyli na jej drogi i pola a także w oczy ludzi na ulicach naszych miast. Słuchamy ich choćby to byli cudzoziemcy, z większym nawet do cudzoziemca odnosząc się zaufaniem, jako do świadka bardziej bezstronnego, bardziej też swobodnego w wypowiadaniu swoich obserwacji.

— Co w Polsce? Relację o tym dał. nam w **Figaro** Pierre Scize, wytrawny dziennikarz i bystry sprawozdawca, dopuszczony w liczbie kilkunastu dziennikarzy cudzoziemskich na pokazowy proces młodego Robineau, inscenizowany w Szczecinie, w połowie lutego. Co więc w ciągu tych kilku dni widział Scize, nie znając języka, poza procesem, którego przebieg i wynik są nam znane? Z planującego nad Warszawą samolotu zobaczył rozległe rumowiska stolicy Polski zmiażdżonej wojną, rumowiska skropione tu i ówdzie plamami brudnego śniegu. Zobaczył wznoszące się ciężkie rusztowania budowanych w kilku miejscach nowych domów, jedną ulicę w całości zabudowaną (autor ma prawdopodobnie na myśli Nowy Świat, istotnie w całości odbudowany), trzypiętrowymi domami w stylu Stanisławowskim. Te białe domy w pośród walących się zgliszcz przypomniały dziennikarzowi świeżo skleconą dekorację jakiegoś filmu; żołnierze wracający z ćwiczeń skandują w takt marszu jakiś jednostajny refren; tłum odziany ubogo śpieszy za swoimi sprawami, lub stoi w długich ogonkach. Tramwaje są obwieszone ludźmi na stopniach i buforach, skromne wystawy sklepów prywatnych wykazują zdumiewającą drożyznę. Wreszcie Hotel Bristol, rodzaj Palace'u który się jeszcze nie podźwignął ze zniszczeń wojennych; luksusowa, wypłowiała i wytarta dekoracja. Na każdym kroku uderzają Francuza wspomnienia własnych ponurych przeżyć sprzed ośmiu i dziesięciu lat. Warszawa jest miastem okupowanym; wszystko na to wskazuje i nie tyle rzeczy co ogólny nastrój.

„Powszechne zubożenie, powiada Scize, może być skutkiem wojny, ale ten smutek człowieka, te twarze napiętnowane troską, te niespokojne spojrzenia, które unikają twego wzroku, te nieskończone ogonki, ten lęk przed bliźnim, to rozgałęzienie aparatu policyjnego, który z każdego sąsiada zrobić może szpiega i donosiciela. Znaliśmy to wszystko, żyliśmy jednak w owe lata nadzieją, że to się skończy, musi skończyć... Ale tu, czego się ci ludzie mogą spodziewać, poza nową potworną rzezią? A są tacy co się jej spodziewają...“

Okupant jest panem, rządzi i kieruje wszystkim. Władza miejscowa ulega mu niewolniczo i z dnia na dzień jarzmo bardziej ciąży. W zburzonych miastach wznoszą się pomniki „oswobodzicieli“: Stalina i Rokossowskiego.

Jeden tylko dla tych ludzi pozostaje ratunek, jedna ucieczka i wyzwolenie — to wiara. Kościoły o każdej porze dnia są przepełnione. Przechodnie żegnają się lub odsłaniają głowy przed nimi.

„Widziałem, pisze Scize, setki kobiet i mężczyzn, klęczących na kamiennych płytach świątyń, ich głowy pochylone pod burzą organów, i ten poryw ekstatycznej modlitwy, to zapatrzenie się w wizję nie z tego świata. Naprzeciw Stalinowskiej tyranii wznosi się Rzym, dotychczas niezwyciężony. Jak długo jeszcze?“

W pamięci naszej przesuwają się kościoły warszawskie... Św. Anny, Karmelitów, Wizytki — dwa ostatnie prawie nietknięte zniszczeniem; do połowy zawalony a dziś znowu pod dachem Św. Krzyż, podziemna kaplica zburzonego św. Aleksandra, kościół Zbawiciela z utrąconą wieżą, św.



WARSZAWA — NOWY ŚWIAT

ZDZISŁAW MARYNOWSKI

NOWY ŚWIAT

WSPOMNIENIE SPROWOKOWANE

PRZED trzema laty otrzymałem list z kraju od pewnej starszej pani, która całe nieomal życie spędziła w Warszawie, a teraz mieszka w jednym z małych miasteczek **Śląska.** Ostatnim obrazem Stolicy, jaki wyniosła w swych oczach i sercu w roku 1944. jest obraz płonącego stosu...

Nie jest zachwycona, ani nowym otoczeniem, ani nowymi warunkami, lecz nie na to narzeka. — Tęskni za Warszawą.

„...nie myślę, ażebym jeszcze przed śmiercią wróciła do mego ukochanego miasta... — czytam w jej liście.— Nie dlatego, że jest tak zniszczone i że nie ma w nim teraz gdzie mieszkać. To się wkrótce może odmienić. W każdym razie obiecują nam to. Odbudowują przecież Warszawę i zapewniają nas, że będzie jeszcze piękniejsza, niż była. — Być może. Lecz na pewno nie będzie to już ta sama Warszawa...“

Prasa czasami donosi o postępach odbudowy, czasem odbija się ta akcja echem w różnych organizacjach międzynarodowych, z uznaniem wspominają o niej zagraniczni architekci, podnieceni obrazem możliwości, jakie stają przed uczestnikami i wykonawcami tego wspaniałego eksperymentu urbanistycznego, przeprowadzanego w tak olbrzymiej skali. Zazdroszczą po prostu tej rzadkiej okazji.

Tak. Okazja istotnie jest niebywała! — Trzeba wszystko budować od nowa. A jeśli budować od nowa, to w takim razie — budować lepiej. Planować, prostować, równać, przedłużać, niwelować, kasować, ulepszać, zmieniać...

Tego właśnie prostowania, równania, ulepszania boi się starsza pani ze śląskiego miasteczka i tego samego boją się tysiące ludzi, dla których Warszawa nie jest tylko terenem, który ma być zabudowany planowo w myśl wskazań „realizmu socjalistycznego, ogarniającego dialektycznie myślenie społeczne, techniczne i plastyczne i stawiającego na tej drodze zręby stylu architektury socjalistycznej“. Bo jeśli nawet z tego eksperymentu powstanie coś piękniejszego, niż było, to jednak nie ma żadnej pewności, że powstanie coś milszego, coś droższego sercu.

Zwłaszcza niepokojąco, w obliczu rozpoczętego już dzieła odbudowy, mogą brzmieć zasadnicze wskazania najczynniejszych teoretyków architektury i ideologów „stylu realizmu socjalistycznego“ w architekturze w rodzaju wypowiedzi, zawartej w jednym z referatów na Zjeździe Inżynierów i Techników Budownictwa w Gdańsku. Czytamy tam: „Jednostronne, lecz grające na łatwej drobnomieszczańskiej emocjonalności, są tendencje bezkrytycznego odtwarzania form zabytkowych“ i łącząca się organicznie z tym zdaniem, na innym miejscu wypowiedziana uwaga na temat nie doceniania elementu użytkowości, dotycząca „bezkrytycznie wiernego odtwarzania kompleksów historycznych, bez liczenia się z potrzebami użytkującego je w obecnych warunkach człowieka“.

Pewien entuzjasta techniczny, niedawno mnie uspakajał, że jednak stare zabytki świeckie odbudowuje się z całym pietyzmem. Widziałem zdjęcia Belwederu, paru zeszłowiecznych i tegowiecznych pałacyków w Alejach Ujazdowskich (dziś, przepraszam za wyrażenie, w Alei Stalina), pałacu Staszica, paru kamieniczek na Starym Mieście i na Krakowskim, gmachu Zachęty, hotelu Europejskiego, teatru Polskiego i innych. Istotnie, trudno tym odbudowanym obiektom coś zarzucić. Wyglądają tak, jak wyglądały niegdyś.

Ostatnią sensacją akcji odbudowy, szeroko reklamowaną przez reżim, jest ukończenie rekonstrukcji Nowego Światu.

Mam w ręku szereg doskonałych fotografii, przedstawiających cały Nowy Świat, z małymi wyjątkami. Rzeczywiście! Oczom wierzyć się nie chce. Poznaję każdy dom. Jeden za drugim. Wymienić je mogę numer po numerze, nazwę po nazwie. — Pałac Sanguszków, Kossakowskich, starosty Wareckiego, Małachowskich, nie licząc innych, o mniej głośnych mianach.

Wzrok ślizga się po znanych zarysach murów, wyczarowanych na nowo spod gruzów i popiołów.

Ale...

* * *

Mam w oczach ostatnio widziany obraz Nowego Światu. Ostatni raz oglądany krótkim przejazdem w styczniu 1940 roku, tragiczny widok najdroższej sercu każdego Warszawiaka ulicy. Już wówczas leżał w gruzach w połowie. Od Świętokrzyskiej do Wareckiej całkowicie. Dalej sterczały nadwyrężone ostatki, poprzerywane gęsto zapadlinami ruin.

A jednak wśród tych ruin i wertepów tętnił życiem. Poprzez jezdnię zasypaną rumowiskiem i przyprószoną śniegiem, z trudem wiła się górzysta ścieżka, przepuszczająca liczne konne dorożki. Tramwaje nie chodziły, samochodów nie było. Ruch pieszy był za to uporczywy. Ludzie dążyli we wszystkich kierunkach. Ku Krakowskiemu i ku Trzem Krzyżom, znikali w zakrętach Chmielnej, Wareckiej, zburzonej doszczętnie Świętokrzyskiej, w Smolnej, w Alejach Jerozolimskich. Już odżywały niektóre sklepy, już funkcjonowały bary i kawiarnie. Spotkałem znajomych w w Café Clubie, który dopiero później opanowali dla siebie Niemcy, u Bliklego, piłem wódkę w którymś barze i, otępiałymi w łoskocie potężniejszych zdarzeń, uszami łowiłem odżywające tętno najmilszej ulicy.

Bo przecież dla Warszawiaka Warszawa — to właśnie Nowy Świat. Tędy przez dziewięć lat chłopięcych codziennie chodziłem do szkoły na Smolną, do „Chrzana“,* tu znałem każdy dom i każdy sklep. Naprzeciw Smolnej był kiedyś sklep z zabawkami p. f. Julian Graff. Obok fryzjer. Opodal, w prawo — księgarnia; nie dochodząc do Chmielnej — Lardelli, do którego młodzieży wolno było chodzić na czekoladę i ciastka bez opieki starszych; tuż przy nim — duży sklep z papierosami, a za nim „kupiec“, czyli sklep kolonialny, który tradycyjnie powinien był w Warszawie mieścić się „na rogu“: na drugim rogu Chmielnej była apteka Malinowskiego, słynna z „przetłuszczonych“ mydeł; jeszcze parę kroków — Buroff z przyborami malarskimi i wystawą modnych malarzy; przy nim wspaniały szewc „Stephan“, a naprzeciw wymarzony raj elegantów, Ignatowski i Wokulski w hotelu Savoy; za Stephanem, na rogu Wareckiej, budząca niezdrowe dreszcze pod granatowym mundurkiem, surowo zakazana młodzieży, cukiernia Jackowskiego; na drugim za to rogu polecana księgarnia Arcta, a za nią skład materiałów piśmiennych Winiarskiego; dalej rękawicznik, dalej skład kapeluszy Mieszkowskiego, galanteria skórzana Greulicha, a dalej kino „Mirage“ i tuż za nim skręt w lewo na wąską ulicę Świętokrzyską, całą w posiadaniu żydowskich antykwariuszy — raj bibliofilów i nielegalny bank lekkomyślnych...

To był Nowy Świat mojej młodości najwcześniejszej. Lecz Nowy Świat w swej duszy, przeważnie beztroskiej, a często frywolnej, ukrywał atrakcje dla każdego wieku, charakteru i humoru właściwe. — Tutaj była szacowna instytucja naukowa, Kasa im. Mianowskiego i tu była na drugim końcu, kawiarnia Udziałowa, a na przeciw restauracja Gastronomia; tu był zakład pogrzebowy Pełczyńskiego i tutaj był „café chantant“ Renaissance (ostatnio kino), a drugi



WARSZAWA — RYNEK NA MARIENSZTACIE

*) Pierwsze polskie gimnazium w Warszawie gen. Pawła Chrzanowskiego, późniejsze im. Jana Zamoyskiego.

POLSCE?



WARSZAWA — UL. MARIENSZTAT

Michała na Mokotowie, św. Jakuba na Ochocie, kościoły Woli i Pragi, aż do Katedry św. Jana, wysiłkiem całego narodu dźwigniętej z gruzów z jej cudownym krucyfiksem Baryczków przechowanym przez wiernych... Wszędzie tam i o wszystkich porach dnia modlą się bracia nasi, budując niewidzialny i nieuchwytny mur oporu. „Proście, a będzie wam dane, kołaczcie, a będzie wam otworzone...“ Cierpienie uczy modlitwy, uczy też jak się modlić i o co.

Samolot z dziennikarzami zagranicznymi przebył trasę Warszawa-Szczecin nie przekraczając wysokości 80 do 100 metrów, co jak wiadomo nie uprzyjemnia podróży. Pogodne niebo zdawało się kusić pilota — napróżno. W Polsce, objaśniono francuskiego dziennikarza, nie wolno samolotom obsługującym krajowe linie lotnicze wznosić się wyżej, w tym celu usunięto z kabiny wszystkie instrumenty orientujące pilota w razie braku widoczności. Dla czego? Bo Szwecja jest za blisko...bo nie należy kusić człowieka, bo przy wolnych lotach straciłoby się niejedną załogę... Scize nazywa ten szczególny system policyjnego dozoru, stosowany w żegludze powietrznej „trzymanie samolotów na smyczy“.

Szczecin liczył przed wojną z górą trzysta tysięcy mieszkańców, cała zaś prowincja, dziś województwo, około trzech milionów Niemców. Dziś zostało ich mniej więcej 20 tysięcy, starych i chorych, reszta — wysiedlona; dobra ich ruchome i nieruchome, skonfiskowane bez odszkodowania. Dziennikarz francuski nie sądzi tych zarządzeń, przypominających Mojżeszowe prawo: oko za oko, ząb za ząb ... nie potępia też tej... sprawiedliwości — zdaje tylko sprawę z tego, co widział na wyludnionym Pomorzu.

„Szczecin, — powiada — o który tyle było sporów leży w gruzach jak przed pięciu laty, tylko że ruiny się spatynowały, jak gruzy Niniwy i Babilonu... W tym chaosie sczerniałych kamieni osiedlono, jako tako, 250 tysięcy Polaków z ziem Wschodnich, ziem okupowanych przez Sowiety. Owe masowe przesiedlenia ludności zdają się być obłędem szalejących dziś techników demografii. Na papierze, a zwłaszcza na mapie, mają te przerzuty jakąś straszliwą logikę. W rzeczywistości są to przedsięwzięcia nieludzkie, barbarzyńskie eksperymenty; miasto potraktowane w ten sposób utraciwszy, wraz z nazwą, swoją niemiecką duszę nie zyskało dzięki temu ani odrobiny duszy polskiej. Szczecin to punkt oznaczony na mapie nagromadzenie zgliszcz i gruzów z kilku oszczędzonymi i obsadzonymi dziś nędzną ludnością wyspami. — Polska nie pokochała Szczecina, w pięć lat nic nie zostało tu dokonane, przeciwnie, cegły z gruzów Szczecina wywozi się na odbudowę Warszawy.

Skądinąd wiemy, że transporty wysiedlonych w 39 i 40 roku Polaków z Kresów Wschodnich, tych, którzy nie zginęli z głodu i chłodu w kołchozach, kopalniach i obozach sowieckich — zwożono wprost z tajg i stepów Azji do Szczecina i tu wyładowywano, z zakazem osiedlenia się gdziekolwiek indziej i omal bez żadnego zaopatrzenia. Zamiast powrotu do ojczyzny upragnionej, do miast i zagród rodzinnych, skąd zostali sześć czy siedem lat temu wydarci, osadzono te ludzkie szczątki w zburzonym i wyrabowanym niemieckim mieście, na obcej i nieżyczliwej im ziemi. Barbarzyński eksperyment!

— „Jużby nam chyba lepiej było pomrzeć na wygnaniu!“ — mawiali ci ludzie.

I znowu nasuwa się wspomnienie niesamowitej modlitwy Schlüsselburgskiego więźnia, starca stojącego już na granicy obłędu i snującego proroczą apokaliptyczną wizję przeznaczeń ludzkości:

„Twoja tylko mądrość i potężna prawica mogą zbawić biedne i obłąkane ludy... Jeśli odmówisz — staną się igrzyskiem rozhukanych namiętności i, niszcząc się wzajemnie, przemienią w pustynię swoje, dziś kwitnące, kraje. W ten czas ujrzy świat z zadziwieniem wyzutą ze swych ozdób Europę, jak biblijną wdowę we włosienicy i z głową posypaną popiołem, siedzącą na rozwalinach swych dawniej kwitnących miast i opłakującą śmierć swoich dzieci.“

* * *

„Pan jutro będzie w Paryżu?“ — mówiono p. Scize w wilię jego odlotu, a w pytaniu tym brzmiał jakiś patetyczny zachwyt. Co dnia prasa polska, pod rozkazami Moskwy, urągała na r ó ż n e t o n y dziennikarzom francuskim, mnożąc nikczemne oskarżenia przeciwko Francji. Mimo to samochód fracuskiego ambasadora, pod swoją trójkolorową flagą, zamiast błota i kamieni, których można było się spodziewać przy takiej kampanii prasowej, był zawsze witany na ulicach Warszawy i Szczecina ufnym spojrzeniem, życzliwym uśmiechem i wzruszającymi względami.

„Nie sposób — kończy Pierre Scize swój reportaż, z tych dziesięciu dni spędzonych za żelazną kurtyną — zatruć w tak krótkim czasie duszy narodu“.

M. S.

---

pokrewny zakład „Aquarium“, choć był na Chmielnej, należał przecież do regionu nowoświeckiego, jak do tegoż regionu należało Towarzystwo Wioślarskie na Foksal i cyrk na Okólniku, sąsiadujący zgodnie z Konserwatorium Muzycznym i Biblioteką Krasińskich.

Nie wyliczę wszystkich kawiarni, cukierni, mleczarni, nie wyliczę wszystkich barów, owocarni i kwiaciarni, i nie wyliczę wszystkich jubilerów, fotografów i wszystkich... szewców. — Bo Nowy Świat to przede wszystkim ulica szewców!

Nazwisko Kielmana (tuż za rogiem, na Chmielnej) i nazwisko Leszczyńskiego — mówi samo za siebie wymową szyldów i wielkich, kryształowych szyb. Lecz dla mnie stokroć większą wymowę posiada wspomnienie małych, szklanych gablot, o kształcie gołębnika, czy skrzynki pocztowej, zawieszanych na dzień przy bramie domu i zdejmowanych na noc. W tych to skromnych gablotach spoczywały prawdziwe arcydzieła warszawskiej sztuki szewskiej, cieszącej się zasłużoną sławą nie tylko na Nowym Świecie, lecz na całym świecie. Małe tabliczki z napisem: Cichy, Gawroński lub Kieliszczyk, to symbole zrozumiałe dla prawdziwych znawców.

Kieliszczyk — nie mylić z firmą „Struś i Kieliszek“ — był z nich najskromniejszy i... najdroższy. Ceny miał te same, a czasem i wyższe, niż dumny Hiszpański z Krakowskiego, lecz towar niedościgniony. A szło się do niego przez długą bramę starej kamieniczki nr. 54, przez jeszcze dłuższe, wąskie podwórze i wchodziło się po dwuch stopniach do kuchni, a stamtąd do pokoju z wielkim obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej. Pokój ten był zarazem sypialnią i jadalnią. Za nim dopiero znajdowała się pracownia. Towar demonstrował sam mistrz, lub jego córka, rozkładając go na... łóżku, lub na stole jadalnym.

Postać tego małego, starszego człowieczka, o niebieskich, marzących oczach, który w swej skromności nie był zgoła świadomy rangi wielkiego artysty w swym fachu, stanowi dla mnie jedno z najserdeczniejszych wspomnień, związanych z Nowym Światem. Choć ceny miał najwyższe, nie był zdziercą. Jego buty nosiło się po kilkanaście lat. W roku 1936, mając już pod siedemdziesiątkę, poszedł na dobrowolną emeryturę do Tłuszcza, pod Warszawą. Nie dorobił się majątku, lecz, jak sam mówił, był zadowolony ze sposobu, w jaki spędził życie. Nie wiedział, że wypełniła mu je sztuka, której duch tchnie, kędy sam chce.

* * *

To był Nowy Świat. — Nowy Świat szumiący ruchem przechodniów, grzmiący hałasem tramwajów, dorożek i samochodów, lśniący blaskiem reklam, okien wystawowych, uśmiechniętych twarzy, eleganckich strojów i zalotnych spojrzeń. A Nowy Świat w nocy, to było inne podniecające widowisko. — Ulica warta osobnej monografii.

Architektonicznie był nierówny, kapryśny. Piękny i szpetny, cnotliwy i grzeszny. Obok małych arcydzieł epoki Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego, jak Pałac Staszica lub Sanguszków, stały grzechy w postaci hotelu Savoy, czynszowych domów koło Foksal, lub zmurszałego drewniaka naprzeciw Świętokrzyskiej.

Ale któż to spostrzegał? To piękno, czy brzydotę fasad ponad „parterem“? — Ponad parterem mieszkali ludzie, żyjący zwykłym, ludzkim trybem podczas, gdy na parterze biegło życie trybem niezwykłym, fascynującym, czasami groteskowym, czasami patetycznym i nie zamierało ani na chwilę, ani w dzień, ani w nocy. I miało wszystkie cechy bujnego życia. Miało momenty wzniosłości i upadku, świętości i grzechu...

Cokolwiek moglibyśmy o nim powiedzieć, był to tętniący krwią serdeczną Nowy Świat

* * *

Obecny Nowy Świat, jakim go oglądam na fotografiach, jest poprawiony i odgrzeszony. — Drewniak naprzeciw Świętokrzyskiej znikł: buduje się tam przedłużenie nowej, szerokiej (42 m.) Świętokrzyskiej, do której dociągnie nową, nie wątpię, że piękną, fasadą, powiększony w tym kierunku pałac Staszica. Hotel Savoy zrównano z otoczeniem i nadano mu harmonizującą z sąsiadami fasadę empirową. Podobnemu uszlachetnieniu uległ dom Malinowskiego. Na tyłach BGK (obecnie Bank Inwestycyjny) przebito nową ulicę Mysią, do ul. Brackiej. Cały teren pomiędzy Książęcą i Al. 3-go Maja zajmuje, cofnięty w głąb i kończony na gwałt, monumentalny gmach Zjednoczonych Partii Robotniczych. Tu i ówdzie rozstawione niegdyś, bezstylowe czynszowce odtworzono również, nie powtarzając (słusznie) szpecących je dawniej ozdób. To, co wartościowe, odtworzono z pietyzmem i smakiem.

Z jezdni znikły szyny tramwajowe. Widocznie pójdą tamtędy tylko autobusy. Brak szpetnych drutów nad ulicą, jakby oczyszcza jej atmosferę i odsłania piękno fasad. Wysokie, brzydkie latarnie elektryczne, niegdyś „łukowe“, zastąpiono niższymi, sięgającymi zaledwie pierwszego piętra, o lampach z mlecznego szkła, kształtu cylindrycznego.

Słowem — cała robota wykonana bez zarzutu i na wiarę przyjąć możemy, że niedokończone, nieliczne już fragmenty będą wykonane równie chwalebnie.

A jednak jest coś w tych fotografiach tajemniczego, co sprawia, że, poznając poszczególne domy, nie poznajemy ulicy. Jest to ulica, jak gdyby w obcym mieście. Dlaczego?

Klucz do tej tajemnicy daje nam dopiero taka uwaga, zamieszczona w czasopiśmie „Stolica“: „Najlepsi nasi architekci, pracując z wielkim nakładem wiedzy i talentu, stworzyli podług starych wzorów nowe gmachy, w których znalazły siedzibę nowe instytucje“.

Ano tak. W tymże numerze czasopisma znajdujemy niezupełne wyliczenie nowych lokatorów Nowego Światu: Pol. Kom. Normalizacyjny (2 kamieniczki), PPB, Ossolineum, Automobil Klub, Paged, ORMO, NROW, poselstwo holender., „Czytelnik“, Pol. Tow. Ekonomiczne, Inst. Spr. Międzynarodowych, Ministerstwo Skarbu, Urzędy Skarbowe, Zarząd Miejski, Centrala Przemysłu Chemicznego, T-wo Ubezpiecz. „Warta“, Radiowęzeł, Zjedn. Partie Robotnicze. Wyliczenie wspomina dwa domy, jako prywatne i jeden jako spółdzielnię mieszkaniową...

Przyglądam się jeszcze fotografiom. Tak. — Ta ulica pozbawiona jest „parteru“, który stanowił jej ż y c i e. Nie ma na niej miejsca dla uczniaka, zdążającego co rano do uczciwej polskiej szkoły, nie ma miejsca dla dobrej księgarni, mogącej sprzedawać książki we wszystkich językach, nie ma miejsca na kawiarnię, gdzieby artyści mogli prowadzić spory o rzeczy niemiłe rządom panującym, nie ma miejsca na kabaret kpiący z wielkości urzędowych, nie ma miejsca na szewca artystę, ani nawet na fryzjera, na szklarza Bajtla, czy na Maison Magnqué. Nie ma na niej sklepów, kawiarni, barów, restauracyj, księgarni, jubilerów, owocarni i związanej z tym p u b l i c z n o ś c i. Publiczność zastąpili i n t e r e s a n c i, zdążający w smutnych sprawach do smutnych „instytucyj“. Szewca artystę zastąpił ponury urzędnik państwa socjalistycznego.

Nowy Świat ukazuje się naszym oczom w pięknej formie swych fasad, na które niegdyś mało kto, chociaż niesłusznie, zwracał uwagę, pochłonięty tętniącym życiem ulicy. Smutne wrażenie. Nowy Świat pięknie zabalsamowany, lecz pozbawiony życia.

* * *

Pokazałem te uwagi komuś, kto zaledwie przed paru miesiącami przebywał jeszcze w Warszawie. Zapytałem, co sądzi w ogóle o odbudowie Warszawy.

— To nie jest właściwe postawienie sprawy — odpowiedział. — Warszawy się nie odbudowuje. To nie leży w intencjach reżimu, gdyż reżim boi się Warszawy śmiertelnie. Intencją reżimu jest: zbudować nowe miasto, które zachowałoby nazwę Warszawy jedynie jako pusty dźwięk. Odrzucić tego dźwięku jeszcze nie mają odwagi. Dlatego właśnie w Warszawie, w jedynym tylko mieście Polski, skonfiskowano wszelkie tereny budowlane, a wszelki materiał budowlany, osiągany z rozbiórki gruzów i rumowisk, wywozi się do innych miast. To jest fakt, o jakim tutaj mało kto wie. Chodzi o zapobieżenie wszelkiej legalnej, czy nielegalnej prywatnej inicjatywie odbudowy mieszkalnej. Odbudowuje się Warszawę-urząd, nie zaś Warszawę - miasto. Mieszkać mają w Warszawie tylko ci, którzy reżimowi będą potrzebni, aby... nie mógł się już powtórzyć nigdy rok 1831, ani 1939, ani 1944.

Radość z odbudowy miesza się ze smutkiem. Tęsknota niezaspokojona. Dźwięczą mi w uszach uporczywie słowa listu starszej pani:

.....lecz napewno nie będzie to już ta sama Warszawa...“

Zdzisław Marynowski



WARSZAWA — KOŚCIÓŁ Św. ANNY

JÓZEF JASNOWSKI

LEON SZADURSKI I JEGO PROJEKT NIEBA NA ZIEMI

WRAZ z niedobitkami armii Królestwa Kongresowego, udającej się jesienią 1831 roku na bezpowrotną tułaczkę, przekroczył również granicę Polski młody porucznik artylerii konnej, Leon Szadurski. Opuściwszy kraj, przewędrował w kilka lat całą niemal Europę zachodnią, a w końcu osiadł na stałe na wyspie brytyjskiej. Uprzednie jego losy, przed przybyciem do Anglii, były takie: Urodził się 25 grudnia 1812 r.; po ukończeniu studiów politechnicznych, wstąpił w r. 1829 do pułku artylerii konnej w stopniu podchorążego. Gdy wybuchło powstanie listopadowe — Szadurski znalazł się również w wirze jego walk i wyszedł z nich cało, choć nie zwycięsko, w stopniu porucznika. Mimo, iż nie miał prawie żadnego przygotowania do życia, jakie go czekało na emigracji — nie zmarnował go jednak w bezczynności.

Pierwszym etapem jego wędrówek była Galicja a następnie Niemcy. Pierwszym wielkim miastem, które poznał, był Berlin. Zwiedził go bardzo gruntownie, poczem po Niemczech przyszła kolej na Francję, Szwajcarię, Hiszpanię, Belgię, Irlandię i Anglię. Ostatnim etapem tej wędrówki była — jak się zdaje — Szkocja.

W owej wieloletniej włóczędze przyświecał Szadurskiemu jeden główny cel: zobaczenia jak najwięcej i poznania obcych społeczeństw, ich ustroju oraz zdobyczy technicznych i cywilizacyjnych. Wierząc, tak jak wszyscy ówcześni emigranci, w powrót do ojczyzny, pragnął nabyć jak najwięcej wiedzy i doświadczenia w obcych krajach, celem wyzyskania ich, po powrocie, przy odbudowie własnego państwa.

Około roku 1840 przybył do Anglii i zarobkował przez dłuższy czas, udzielając lekcji gimnastyki i fechtunku. Częściowo to zajęcie a bardziej jeszcze ujmujące obejście i kultura osobista, ułatwiły mu nawiązywanie znajomości z Anglikami i dały wiele sposobności do nowych obserwacji i spostrzeżeń. Rozmawiając przy różnych okazjach o sprawach polskich, doświadczył za każdym razem głębokiej i powszechnej ignorancji wśród Anglików w odniesieniu do przeszłości i sytuacji obecnej swego kraju. Postanowił więc, na swój sposób, temu zaradzić przez odpowiednią akcję propagandowo-odczytową. Porzucił nauczanie gimnastyki i fechtunku i zabrał się energicznie do wygłaszania odczytów o Polsce. Kto mu dopomógł do ich zorganizowania: kwakrzy czy masoni — niewiadomo. Odczyty zostały wygłoszone i spełniły podwójnie swoją rolę, przynosząc korzyści zarówno sprawie polskiej jak i prelegentowi (płatne bilety wstępu).

Pierwszy odczyt odbył się w... Cheltenham i mimo, iż prelegent szedł nań z nieuniknioną w takich razach tremą — udał się znakomicie i był zachętą do podejmowania dalszych. W latach 1840 — 1841 wygłosił ich Szadurski kilkanaście, między innymi w Bath, Reading, Northampton, Leicester, Birmingham, Manchester, Leeds, Hull i wielu innych.

Największą dumą napełniało Szadurskiego, jako prelegenta, to, że większość publiczności przychodzącej na jego odczyty stanowiły panie (to znaczy Angielki). I tak np. w Exeter na 180 osób, które przyszły na odczyt było aż 120 pań! Niewątpliwie ziarna wiedzy o sprawie polskiej nie padały nigdy na tak pulchny grunt jak wówczas.

Największy sukces odniósł jednak Szadurski w Northampton, gdzie w listopadzie 1840 roku wygłosił odczyt o upadku Polski. Po odczycie został zaproszony do domu jednego z miejscowych notablów, gdzie była utalentowana i naprawdę młoda, bo szesnastoletnia, panienka, która okazywała szczególne zainteresowanie sprawami Polski i losem Polaków-emigrantów w Wielkiej Brytanii. Szadurski zmienił się w krasomówcę, nie szczędząc swoim opisom czarnych barw. W wyniku tej rozmowy, gdy tylko goście się rozeszli, jeszcze tegoż wieczora, owa czarująca rozmówczyni Szadurskiego ujęła za pióro i napisała poemat pt. „P o l a n d“. Ten poemat na cześć Polski zaczyna się tak:

„England! my cherished country! all other lands above;

Land of my home, my household — hearth, my kindred, all I love“.

itd. przez sto kilkanaście wierszy ciągnie się pochwała Anglii, przeplatana wyrazami współczucia dla biednych polskich emigrantów, wałęsających się bez ojczyzny od tylu lat! Nie omieszkajmy dodać, iż owa czarująca poetka nazywała się Eillen A. Oxenham. Gdy nazajutrz odczytała rodzinie swój poemat — spodobał się tak dalece, że go odrazu posłano do redakcji miejscowego pisemka.

Największego zachwytu z powodu tego poematu doznał jednak Szadurski, sam potrosze poeta. Ujęło to bardzo jego dumę, iż w ciągu jednego wieczoru potrafił stać się natchnieniem poetki. Po wielu latach, pisząc o owym wydarzeniu, zaznaczył z przekonaniem, iż przeżyć związanych z tym nie oddałby ani za „order of the Garter“ od królowej Wiktorii ani za „croix d'honneur“ od Napoleona! Możemy mu wierzyć!

Po zakończeniu tury odczytowej — Szadurski wydał swój „kurs historii Polski“ po angielsku („An Epitome of the History of Poland“ Glasgow 1842. Ukazała się tylko cz. pierwsza) i zadedykował go „to the Ladies of England“ z wdzięczności za sympatię okazywaną sprawie polskiej w czasie jego prelekcyj.

Z czasem jednak i te prelekcje, podobnie jak gimnastyka i fechtunek, zniechęciły Szadurskiego. Sympatia i zdawkowe słowa współczucia niekoniecznie pięknych i nie zawsze młodych Angielek — okazywane sprawie polskiej, nie posuwały jej ani o jotę naprzód. Należało się do tego zabrać inaczej. Ale jak?

Szadurski zaczął rozmyślać i doszedł do przekonania, że sprawy polskiej nie uda się inaczej rozwiązać, jak tylko na tle międzynarodowym. W „powszechną wojnę ludów“ nie wierzył i nie propagował jej, w przeświadczeniu, że doprowadzi ona do strącenia jednego tyrana, po to tylko, by utorować miejsce drugiemu, jeszcze gorszemu. Świat należy przebudować od podstaw i nadać nowej jego organizacji takie prawa, by zabór polityczny i niesprawiedliwość społeczna stały się niemożliwe.

Należy tu zaznaczyć, iż na ten kierunek myślenia Szadurskiego niemały wpływ wywarło środowisko emigracyjne, w którym się w czasie pobytu w Londynie obracał, a mianowicie Towarzystwo Demokratyczne, którego był członkiem, bywał na jego zebraniach, uczestniczył w dyskusjach, ale czy mówił mądrze czy tylko po emigrancku (to znaczy mętnie) — tego nam historia nie przekazała.

Obok rodaków-demokratów duży wpływ na ideologię polityczno-społeczną Szadurskiego wywarł również popularny wówczas w Anglii ruch chartystowski.

Chartyści, pod hasłem reform parlamentu, dążyli do radykalnych przemian ustrojowych (łącznie z wprowadzeniem ustroju republikańskiego w Anglii) i socjalnych. Ich przewódcy nie byli wielkimi teoretykami i podchodzili praktycznie do zagadnień społecznych, co szczególnie odpowiadało Szadurskiemu, którego techniczne wykształcenie, wyniesione z Polski, zaważyło na kierunku myślenia i zainteresowaniach.

W okresie, kiedy chartyści w Londynie i szeregu wielkich miast w Anglii (na wiosnę 1848) szykowali się do generalnego wystąpienia z planem swoich reform — tłoczyło się właśnie w jednej z drukarń edynburskich programowe dzieło Szadurskiego, zawierające wykład jego filozofii społecznej oraz plan takiego urządzenia świata, by każdy mógł osiągnąć rodzaj nieba na ziemi. 1)

Urzeczywistnienie tego wielkiego planu uzależnione jest od osiągnięcia doskonałości w:

— organizacji rządu,

— powszechnym i celowym zapewnieniu każdemu pracy według jego przyrodzonych zdolności,

— rozbudowie miast i osiedli celem zapewnienia każdemu godziwego pomieszczenia,

— bezpłatnym i powszechnym nauczaniu.

Co to jest rząd, oczywiście rząd doskonały?

Jest to mądra i sprawiedliwa organizacja w nakładaniu zobowiązań i ograniczeń każdej dziedzinie życia ludzkiego celem utrzymania jej w na-

1) „HEAVEN UPON EARTH, BY A POLISH EXILE. Edinburgh, 1848. Printed for the Author by Andrew Murray, str. 4 plus 259.

Za udostępnienie mi tego rzadkiego dzieła składam serdeczne podziękowanie panu Mgr. A. Dygnasowi. Tożsamość autora ustaliłem na podstawie tekstu samego dzieła oraz sprawozdania Literackiego T-wa Przyjaciół Polski za rok 1849.

FANTASTYKA W FILMIE

KILKA UWAG O TWÓRCZOŚCI J. COCTEAU

Francja zawsze była pionierem filmu, a po ostatniej wojnie olśniła świat świeżością i bogactwem swoich dokonań. Nie znaczy to jednak, by francuski geniusz filmowy był wszechstronny lub bardzo oryginalny. Nie wymyślili Francuzi żadnego z kanonów filmowych, jak się to zdarzało Szwedom (Gad, Stiller, Dreyer), Amerykanom (Griffith), Anglikom (Chaplin) i Rosjanom (Eisenstein), nie stworzyli właściwie stylu filmowego, a przecież trudno nam wyobrazić sobie kino bez tego elementu francuskiego wywierającego tak uszlachetniający wpływ na światową produkcję filmową. Francuzi odegrali w sztuce filmowej przede wszystkim rolę stróżów dobrego smaku i zdrowego rozsądku, a nade wszystko obrońców czystej wyobraźni filmowej.

Do roli konserwatorów i regulatorów twórczości filmowej predysponuje Francję jej długa tradycja artystyczna i owa organiczna jedność, jaką w tym kraju stanowi życie artystyczne. Nigdzie na świecie nie ma tego codziennego obcowania muz, które we Francji rozumie się samo przez się, nigdzie nie wymaga się od artysty tak wszechstronnego wykształcenia, które skolei umożliwia nieustanne wzajemne zapładnianie się sztuk. Film — gdy tylko odkryto jego możliwości artystyczne — nie mógł uniknąć błogosławionych rygorów tego potężnego rytmu. Stąd w atmosferze filmu francuskiego pełno wszędzie aluzji muzycznych, poetyckich, malarskich, stąd jego dziwna wielowymiarowość, błyskotliwość i pełnia.

Za jednego z reprezentatywnych realizatorów filmowych Francji uważany jest poeta i dramaturg Cocteau. Ma on sławę artysty wyrafinowanego i pomysłowego, a sam chełpi się, że „myśli filmem“. Nie ma dziś chyba na świecie postaci bardziej „renesansowej“ niż ten surrealista o perwersyjnym guście do klasycyzmu. Wszędzie go pełno, wszystkiego się chwyta, idzie przez wszystkie dziedziny sztuki i literatury od sukcesu do sukcesu, pracuje niezmordowanie i dba o to, by nie przestano o nim mówić (nawet w pokoikach dziecinnych!). Przy tym, filmy jego są rzeczywiście cenione, mają powodzenie i zaliczane są do rzędu „klasycznych“.

A przecież są to filmy złe. Tematyka ich jest wyszukana, jakby umyślnie prowokująca swoją filologiczną wyniosłością, a w sposobie jej podania nie ma nic, co by ten profesorski pedantyzm uczłowieczało. W „Wiecznym powrocie“ („L'éternel retour“) legenda Trystana i Izoldy staje się czymś, czego widz się zaledwie domyśla, choć jej bohaterowie chodzą po ziemi, wśród drzew i ruin, pełni śmiertelnej namiętności i monumentalnej melancholii. Między opowieść a jej wyraz filmowy wciska się natrętna rzeczywistość ciał i rzeczy, które właśnie nic nie wyrażają choć mają wszystko oznaczać. Nie jest to nawet symbolizm, bo symbole następują tu po sobie bez żadnego organicznego związku artystycznego, nie układają się w żadną kompozycję, nie „grają“, a tylko znaczą elementy opowieści.

Środkom filmowym także brak jedności stylu. Jest tu właściwie wszystko, i dramat realistyczny, i film sensacyjny, i groteska, i jakaś operowa fantastyka. W zestawieniu tych stylów nie ma żadnej intencji, żadnego świadomego dowcipu. Trudno obronić się poczuciu kłopotliwej bezradności realizatora. Walczy on ze swoją wizją jak Jakub z Aniołem i ponosi sromotną klęskę. Nie umie uchwycić legendy, nie umie do niej dotrzeć, przecieka mu ona przez palce jak mgła. Co pozostaje, to poprzebierani aktorzy i irytująca mieszanina stylów.

W „Bestii i Pięknej“ („La Bête et la Belle“) historia zaczarowanego księcia, któremu tylko prawdziwa miłość może przywrócić kształt ludzki, jest do tego stopnia potraktowana, jako pretekst do technicznych sztuczek, że widz nudzi się, gdy ich miejsce zajmuje akcja (lub dialog). Gdyby chodziło o klasyczny przykład, jak można przejmującą opowieść rozłożyć na mechaniczne efekty, film ten mógłby za taki przykład służyć. A nie jest to przecież motyw nowy w filmie, ten człowiek zamieniony w potwora. Bestia dużo mówi o swoim cierpieniu, ale nie przekonywuje widza, choć Jean Marais ma rzeczywiście doskonałą maskę kota. Tylko dwa razy żywa imaginacja autora przebija się przez pojęciowy i techniczny sztafaż utworu: raz, gdy Piękna natyka się na Bestię chłepczącą wodę ze stawu i drugi raz, gdy w czasie rozmowy z Piękną, na Bestii jeży się sierść na widok przemykającego przez las jelenia.

W obu tych filmach Cocteau utrudnia sobie uplastycznienie fantastycznej wizji przez skontrastowanie jej z częścią zupełnie realistyczną i tylko luźno wiążącą się z treścią legendy. W „Wiecznym Powrocie“ jest nią historia złośliwego karła, prawdziwego Strasznego Dziecka (motyw ten od dawna prześladuje Cocteau i byłby wdzięcznym tematem do rozprawy psychoanalitycznej), potraktowana z sadystycznym realizmem w najlepszej tradycji francuskiej; w „Bestii i Pięknej“, część tę wypełniają trzy brzydkie siostry Pięknej, narysowane z tym moralistycznym delektowaniem się w grzechu, które dla wielu stanowi główny urok literatury i teatru francuskiego.

Powiedziałem, że te wstawki utrudniają Cocteau uplastycznienie fantastycznej wizji, choć myślę, że w przekonaniu Cocteau stanowią one ów niezbędny kontrast który ma właśnie fantastykę uwydatniać. I tu chyba tkwi główna pomyłka Cocteau jako filmowca, a równocześnie nauka, jaką z tych eksperymentów (wcale nie pomyślanych jako eksperymenty!) należy wyciągnąć. W filmie nie można kontrastować świata przyrodzonego i nadprzyrodzonego, w filmie trzeba się zdecydować albo na jedno albo na drugie, bo film nie znosi symbolizmu. Film jest sztuką organicznie tomistyczną w tym sensie, że świat nadprzyrodzony może w nim działać tylko środkami naturalnymi, że jego ingerencja musi dać się całkowicie wytłumaczyć prawami natury, choć fakt tej ingerencji nie powinien ulegać wątpliwości. W filmie albo wszystko musi być fantastyczne albo też świat nadprzyrodzony musi przez świat naturalny p r z e ś w i e c a ć. Ale żadnej rzeczy, żadnemu ciału, żadnemu przedmiotowi, żadnemu nawet znakowi nie wolno nadawać w y ł ą c z n i e nadprzyrodzonego sensu. Tym się tłumaczy, że fantastyka filmów Cocteau, przez skontrastowanie jej z częścią realistyczną nie zyskuje, tylko blednie do reszty.

Wreszcie słowo o samych środkach artystycznych tych filmów. Widzowi, który pamięta niemieckie filmy ekspresjonistyczne lub pozujące na ekspresjonizm filmy Langa z okresu inflacji po tamtej wojnie, musi rzucić się w oczy niemal niewolnicza zależność efektów technicznych i nastrojowych w filmach Cocteau od tej zamierzchłej produkcji niemieckiej. Ale czyż cała dzisiejsza moda egzystencjalistyczna (i psychoanalityczna!) we Francji nie jest odgrzewaniem mody niemieckiej sprzed ćwierci wieku? Tak więc po stu z górą latach znów: „Ex Oriente Lux!“ M. R.

leżytym porządku i w harmonii z innymi. Rząd — innymi słowy — jest to prawo ucieleśnione, prawo reprezentowane. Nie może on być ani przypadkowy ani siłą narzucony, ale wyłoniony przez naród jako wyraz sił porządkowych. Te idealne definicje nie odnoszą się oczywiście do żadnego z rządów europejskich, które Szadurski porównuje do spekulantów, myślących jedynie o powiększeniu swego stanu posiadania — a że spekulacja ta odbywa się kosztem uciskanych narodów, nic dziwnego, że one ubożeją. Jeśli więc naród jest oświecony i wolny i chce być dobrze kierowany — musi przestać popierać błaznów politycznych, zgrywających się publicznie jego kosztem. I stąd wniosek praktyczny: jeśli rząd składa się z błaznów — naród winien go zmienić lub wprost zlikwidować.

Szadurski nie przesądza jaka ma być forma rządu: republikańska czy demokratyczna, gdyż to nie jest ważne. Musi ona być jedynie emanacją i ucieleśnieniem prawa.

Powszechne zatrudnienie jest funkcją trzech odrębnych elementów: pracy, ceny i pieniędzy.

Pracą — mówi Szadurski — człowiek stworzył ład społeczny, w którym żyje. Podobnie jak Słowo Boże ongi stało się ciałem tak i praca człowieka stała się wartością materialną i tak długo jak długo będzie istnieć praca — będzie istniał ład społeczny człowieka. Rządzić sprawiedliwie światem znaczy zużytkować właściwie pracę człowieka, zależnie od jego uzdolnień i zainteresowań. A co to jest cena? Weźmy — mówi Szadursi — kawałek gliny; sam w sobie nie przedstawia on wartości, ale przerobiony na cegłę, wypalony i zużyty do budowy domu nabiera ceny, która jest niczym innym, jak pracą człowieka, wykonaną dla jej wyrobu. Istotą ceny jest więc praca człowieka, włożona w przedmioty jego zapotrzebowań.

Jeśli chcemy być bogaci, musimy albo sami pracować albo innych zmusić do pracy na naszą korzyść. Stąd też dążenie do panowania jednych nad drugimi ma swoje zródło w chęci wyzyskania pracy poddanych przez ich władców. W podobny sposób bywa wyzyskiwany również i pieniądz. Pierwotnie był on formą zamiany wyprodukowanych lub zdobytych wartości — z czasem został udoskonalony w swoim użyciu, upowszechniony i zmonopolizowany przez klasę rządzącą, która nabywa za niego pracę swych poddanych.

W każdym społeczeństwie — mówi dalej Szadurski — są producenci i konsumenci. Sekret idealnej organizacji społecznej leży w tym, by istniała harmonia między wytwórcą i spożywcą i by spotykali się oni zawsze na platformie wspólnego zainteresowania. Jak rozwiązać ten problem? Autor daje obszerny wykład tego rozwiązania poprzez właściwą organizację handlu, municypalności, transportu i bankowości wraz z akcją oszczędnościową, co — jego zdaniem — nie tylko że rozwiąże całkowicie problem harmonii między produkcją a spożyciem, ale równocześnie pozwoli wprowadzić „old age pensions" oraz zredukować do minimum pracę kobiet.

Trzecim warunkiem powszechnej szczęśliwości jest rozwiązanie problemu mieszkaniowego. „Każdy człowiek — pisze Szadurski — uprawniony jest do posiadania schludnego i dostatecznie obszernego pomieszczenia, w którym, jako dziecko, rośnie, rozwija się i w którym kształtują się jego uczucia, obyczaje, pojęcia moralne i światopogląd". Sytuacja mieszkaniowa klas robotniczych, nie tylko w Anglii ale i w Europie, jest wręcz poniżej ludzkiej godności i wymaga natychmiastowych środków zaradczych. Szadurski uważa, iż nie są one niemożliwe do przeprowadzenia i występuje z konkretnym planem rozbudowy pomieszczeń, wchodzącym aż w takie szczegóły jak typy domów dla poszczególnych klas społecznych (opracował nawet ich plany architektoniczne) wraz z kosztem ich rozbudowy i utrzymania oraz urządzeniem wewnętrznym. Właściwe rozwiązanie problemu mieszkaniowego jest — zdaniem Szadurskiego — kluczem do wydźwignięcia klasy robotniczej z nędzy ekonomicznej i podniesienie jej pod względem umysłowym i moralnym.

Ostatnim warunkiem „niebiańskiej" szczęśliwości na ziemi jest wprowadzenie powszechnego nauczania. „Intelekt człowieka — pisze Szadurski — jest podobny bądź to do cedru na Libanie, śmiejącego się do podniebnych szczytów górskich, bądź też do wierzby, pochylonej nad mulistym potokiem. Jest on w zasadzie darem natury i żadne studia nie mogą przerobić urodzonego tępaka w intelektualistę". Wykształcenie jest jedynie kamieniem probierczym, wydobywającym z człowieka jego przyrodzone wartości a jego celem głównym doskonalenie wartości wrodzonych ludzkiego umysłu.

Wartości te posiada, w odpowiedniej mierze każdy człowiek podobnie jako podstawowe narzędzie niezbędne do spełnienia zadań w swoim własnym życiu i życiu społecznym. Aby mógł temu zadośćuczynić — musi być należycie do życia przygotowany, a jego dary wrodzone wydobyte na jaw i ukształcone. Do tego celu prowadzi jedynie nauczanie powszechne, dostępne dla każdego człowieka już od dzieciństwa. Podobnie jak przy rozbudowie osiedli — Szadurski szkicuje sieć szkolną oraz koszt jej utrzymania, zarówno dla miast jak i dla wsi i to dla każdej warstwy społecznej oddzielnie.

Plan idealnego ustroju społecznego kończy autor uwagami o małżeństwie, jako o najistotniejszej komórce każdego organizmu społecznego. „Przyczyna, dla której jest tak wiele nieszczęśliwych małżeństw jest ta — pisze — iż młode panie poświęcają więcej czasu zastawianiu sieci niż budowie klatek". Zacząwszy od klatki małżeńskiej, tak dalej dowodzi „Małżeństwo jest podobne do ponczu: mężczyzna jest w nim mocnym rumem, kobieta słodkim i rozpuszczającym się w rumie cukrem a miłość gorącą wodą, która z czasem całkowicie stygnie". Przyczynę owego wystygania miłości w małżeństwie widzi autor w niedostatku materialnym większości rodzin i w nierozważnym kojarzeniu stadeł małżeńskich. To prowadzi zawsze do rozbicia życia rodzinnego. Odpowiednie warunki mieszkaniowe, powszechne nauczanie i poprawa płac uzdrowią od podstaw życie rodzinne i uczynią małżeństwo tym czym ono być naprawdę powinno.

Omówione dzieło Szadurskiego jest bogate w treść, ale nierówne co do wartości. Obok wywodów natury czysto ekonomicznej, autor wtrąca niepoważne uwagi pod adresem osób i instytucji, obok sensownych planów zorganizowania transportu i sieci szkolnych czy rozbudowy osiedli — jest szereg mimowolnie humorystycznych i banalnych uwag o kobietach, o emigracji polskiej czy wreszcie o polityce europejskiej. Raz chwali Anglię i wynosi pod niebiosy jej gościnność — a na innym miejscu rzuca gromy na Anglików, że nie raczyli dać polskim oficerom godnych posad. Niepoważny jest również jego plan zbawienia Polski z pomocą... subskrypcji angielskiej w sumie £ 400.000 rocznie. Takich niekonsekwencji i śmiesznostek jest więcej. Świadczą one o daleko posuniętym wyjałowieniu życia emigracyjnego, które przetrawiło całkowicie własne soki wyniesione z kraju, a nie umiało sobie zaczerpnąć świeżych z nowego podłoża bytowania. Tym nie mniej jednak dziełko Szadurskiego zasługuje na to, by je ocalić od zapomnienia gdyż — mimo swych fantastycznych wybryków — autor jego wykazał, że zrozumiał należycie, iż fundamentem każdej organizacji (czy reorganizacji) społecznej są sprawy i problemy ekonomiczne i że od nich trzeba rozpoczynać. Jego plan (nieba na ziemi), mimo utopijnego tytułu nie jest bynajmniej utopią, bo tkwi silnie w ekonomicznych podstawach życia. Autor ma ponadto chrześcijańskie podejście do człowieka: **chce mu materialnie dopomóc po to, by go podnieść równocześnie duchowo. Ten religijny, arcychrześcijański** motyw stosunku do człowieka, snuje się — jak czerwona nić — poprzez wszystkie jego wywody: od udoskonalenia transportu kolejowego aż po podniesienie i ulepszenie życia małżeńskiego.

Józef Jasnowski

TERESA SKÓRZEWSKA

OBOZY ISTNIEJĄ

ŻYCIE duchowe i umysłowe Polaków zdaje się wzbierać w Londynie. Świadczy o tym choćby wystawienie sztuki Zawieyskiego. Świadczą tytuły szeregu wykładów i nazwiska prelegentów.

Udało mi się być na popołudniowym przedstawieniu niedzielnym Zawieyskiego na Exhibition Road. Siedziałam z zegarkiem w ręku, z walizką pod krzesłem i z duszą na ramieniu, czy zdołam pozostać do końca. Uprzejma dyrekcja, uprzedzona o mojej trosce, skracała przerwy. Uprzejmy student chwycił po przedstawieniu kuferek i dopędziliśmy pociąg minutę przed odejściem.

Natomiast wykład M. Szyszko Bohusza o polskim malarstwie odbył się we wtorek. W inny znów wtorek — rekolekcje w Hampstead.

Po stwierdzeniu takich dat pracownicy obozów ze smutkiem stwierdzają: „nie dla nas..." i grzęzną w apatię duchową i umysłową głodówkę.

A przecież jaskiniowcom z beczek te pożywki były by tym bardziej potrzebne, że rodzaj ich egzystencji jest socjologicznie tak nowy, czy też właśnie nawraca do tak pradawnych warunków bytu, że żaden mieszkaniec nie jest do niego istotnie przystosowany. Znają go jedynie jeńcy wojenni. Dzisiaj obozów nie otaczają już druty kolczaste, ni wieżyczki strażników, lecz odcięcie od świata zewnętrznego pozostaje całkowite.

Naokoło toczy się życie odmienne religią, językiem, obyczajem. Ludność okoliczna dociera czasem życzliwie, lecz brak wspólnych korzeni utrudnia pogłębienie ludzkich kontaktów. Tylko dobre serce skłania tubylców do sporadycznych wizyt w beczkach. To nie są i być nie mogą mimo obustronnej dobrej woli, wymiany kulturalne, jakie rodzi samorzutnie normalne życie.

Odwiedzają nas również dwuplemienni przedstawiciele czterech ministerstw. Celem wizyt władz jest zapoznanie nas z ich światłą wolą, na której kształtowanie nasze długie doświadczenie życia obozowego wpływu nie wywiera. Początkowo cieszyłam się na takie okazje zapoznania ich z potrzebami poszczególnych mieszkańców. Pamiętam rozmowę rozpoczętą z jednym z nich, o inwalidach w naszym obozie. W pewnej chwili spostrzegł, że nie jestem urzędniczką, przeznaczoną do oficjalnej opieki nad inwalidami. Wyraz zdumionego przerażenia: kwestią polityki opiekuńczej zainteresowała się osoba prywatna!... Błyskawicznie, nie szukając nawet pretekstu przerwania rozmowy — tergum vertebat et fugebat. — Bierna obojętność społeczeństwa odzwyczaja czynniki oficjalne od szukania terenu dla wymiany zdań.

Weselsze są odwiedziny teatru w obozach. Rozbudzają zasypiającą myśl i dają dużo istotnej radości.

Wdzięcznie też wspominamy panie z biblioteki polskiej, gotowe objąć indywidualną opieką każdego czytelnika, gdziekolwiek się znajduje.

Pozatem cisza. Veritas ogłosił akcję wykładów po obozach. Akcja to wielkiej wartości. Nie wiem jak się rozwija. Do trzech obozów, których obywatelką byłam przez ostatnie 4 lata, żaden prelegent z zewnątrz nie dotarł. Może dlatego, że „p o w o ł a n e czynniki nie wystąpiły z odnośną incjatywą", mówiąc językiem urzędowym, który tak każdy szczegół życia przenika, że wypiera z mózgu spontaniczną prostotę polskiej mowy.

A przecież są szeregi inwalidów i ludzi starych, którym stan sił i finansów nie pozwala nigdy obozów opuszczać. I tu jest miejsce dla rozwoju a k c j i społecznej, indywidualnej, imiennej.

Wydaje mi się, że olbrzymią rolę odegrać by mogły konferencje św. Wincentego, które roztoczyły by opiekę nad najbardziej samotnymi ludźmi w własnym zasięgu. Współczucie cierpiącym jest nieodłączne od chrześcijaństwa. W epoce kataklizmów ten aspekt nauki Chrystusowej należałoby szczególnie w sobie rozwijać. Miłosierdzie jest jedyną tamą, jaką stawić możemy zdziczeniu stosunku wzajemnego ludzi pozbawionych Boga, którym się tłumaczy gwałtowny atak w Kraju na „Caritas". W akcji tej nie jest przeszkodą własne ubóstwo i brak czasu. Chorym nie o wsparcie chodzi, lecz o wyrwanie ich z zupełnego czasem osamotnienia. Na to każdego z nas stać, choćby względem jednego, dwóch czy trzech ludzi.

Koła nie są potrzebne dla tworzenia jednego jeszcze oficjalnego stowarzyszenia, lecz po prostu sieci serdecznej, poprzez której oczka nikt potrzebujący nie prześlizgnął by się niedostrzeżony. Niech Stefan pozbawiony nóg na wojnie, czy Janek oddychający resztą płuc będą dla opiekuńczego koła właśnie Stefkiem i Jankiem, a nie jednym więcej numerem w kartotece.

Jeśli chrystianizm nasz i polskość są żywe, coraz trudniejsza egzystencja samorzutnie rozwinie nasze współżycie w gminy podobne tym, które pierwszym chrześcijanom umożliwiły przetrwanie.

Poruszyłam kwestie pozornie rozbieżne. A jednak umożliwienie pracownikom o b o z ó w (przez proste uwzględnianie dat ich wakacji i weekendów) udziału w pracy intelektualnej i wymianie myśli Polaków w Londynie, i docieranie do ludzi, którzy z obozów ruszyć się nie mogą, przyczyniłoby się do integracji komórek obozowych, osamotnionych przez swe położenie geograficzne, w całokształt życia społeczeństwa polskiego w Anglii, które się zdaje zdrowieć i pogłębiać.

Teresa Skórzewska

WOKÓŁ NAGRÓD LITERACKICH

Dnia 31 marca minął czas, wyznaczony na składanie maszynopisów prac niedrukowanych lub egzemplarzy prac drukowanych przez pisarzy, których zainteresowały 4 Katolickie Nagrody Literackie ogłoszone przez Kat. Ośrodek Wydawniczy Veritas. Prac wpłynęło wiele, szczególnie zbiorków poetyckich. Dnia 6 kwietnia odbędzie się pierwsze posiedzenie Jury w następującym składzie:

Antoni Bogusławski, prezes Związku Pisarzy Polskich na obczyźnie.

Władysław Folkierski, prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Stanisław Stroński, prof. Kat. Uniwersytetu w Lublinie.

Józef Kisielewski, kierownik wydawnictw Katolickiego Ośrodka Wydawniczego Veritas.

Mira Małachowska, delegatka Polskiej Misji Katolickiej dla Anglii i Walii.

X. Tadeusz Kirschke, delegat Polskiego Katolickiego Stowarzyszenia Uniwersyteckiego Veritas.

LIST W SPRAWIE NAGRÓD

Do Katolickiego Ośrodka Wydawniczego „VERITAS", 12, Praed Mews, London, W. 2.

W odpowiedzi Księdzu Tadeuszowi Kirschke, Kapelanowi Akademickiemu, wpłacam £ 1.0.0 na Fundusz Katolickich Nagród Literackich, aby ten wzniosły cel Inicjatorów pomocy piśmiennictwu katolickiemu, choć w bardzo skromnej mierze poprzeć.

Jednocześnie pozwalam sobie prosić o wpłaty na tenże cel:

Wielebnych:

Ks. W. Kołodziejczyka, T.J.
Ks. W. Słomińskiego, O.F.M.
Ks. J. Kołodziejczyka, Rzym,
Ks. S. Nowickiego, T.J.,

WPaństwa:

J. A. Grobickich, Toronto, Kanada,
A. I. Grobickich, Toronto, Kanada,
M. H. Kruczałów,
W. J. Szewczyków,
Z. W. Wyrzykowskich,
H. B. Hausmanów, Edynburg,
T. N. Dąbrowskich, Buenos Aires, Argentyna,
J. W. Ustrzyckich, Basford,

WPanów:

J. Kozubskiego,
T. Kondyckiego,
D. Maciejkę,
H. Janiszewskiego,
T. Tchórzewskiego,
J. Woźniaka,
St. Czaplińskiego, Curitiba, Parana, Brazylia,
T. Sławińskiego,
S. Broś,
St. Pawłowskiego,
Z. Sochockiego,
A. Brzozowskiego,
W. Chochowskiego,
W. Bielickiego,
J. Łatwisa,
S. Łochtina,
K. Pawlikowskiego,
W. Podgórskiego,
F. Rutkowskiego,
St. Wysockiego,

O dalsze ogniwa łańcucha wpłat proszę i kreślę się

z poważaniem

Zygmunt Scibor KOTKOWSKI

LISTA NR. 2.
Katolickich Nagród Literackih

X. W. Drobina	£ — 8.—
Bezimiennie	—. 2.—
Czytelnik	—.15.—
p. Włosek Władysław	—.10.—
p. F. Reiss	1. —.—
p. K. Tarnawski	—. 5.—
p. M. Wiśniewski	—. 5.—
Polish Combatants Association Branch 235	1. —.—
Koło Z.R.R.P. Nr. 72	—. 2.—
p. A. Dulawa	—. 5.—
p. J. Gierdo	—. 1.—
p. W. Zejno	—. 5.—
p. J. Kowalski	—. 7.—
p. St. Rusinowski	—. 1.—
p. K. Gontarewicz	—. 5.—
p. W. Mazur	—. 3.—
p. J. Dadlez	—. 7.—
p. Z. Scibor Kotkowski	£ 1.—.—
	£ 7. 1.—
Poprzednio (do dnia 29.3.50 włącznie)	16. 7.9.
Razem	23. 8.9.
Pozostaje do zebrania wśród Czytelników:	76.11.3.

Z A P I S K I

MARX I WOJNA KRYMSKA

W PRZEDDZIEŃ wojny angielsko-rosyjskiej o Krym, jesienią 1853, w chartystowskim tygodniku londyńskim „People's Paper" ukazało się osiem artykułów Karola Marxa, wymierzonych przeciwko ówczesnemu ministrowi spraw zagranicznych W. Brytanii lordowi Palmerstonowi. W artykułach tych, przedrukowanych częściowo przez prasę amerykańską, a później wydanych w formie oddzielnej broszury, Marx namiętnie zaatakował Palmerstona, oskarżając go o to, że tylko udaje antyrosyjskość, a w gruncie rzeczy jest posłusznym narzędziem Rosji. W korespondenji prywatnej Karol Marx wyraził nawet pogląd, że Palmerston był po prostu sprzedajnym politykiem, biorącym pieniądze od Rosjan.

Dr. Wiktor Weintraub w odczycie wygłoszonym na zaproszenie i w sali Instytutu Wschodniego „Reduta", udowodnił, że pisząc te artykuły Karol Marx dał dowód wielkiej naiwności politycznej i uległ swemu popędliwemu temperamentowi publicystycznemu, który w danej sprawie wyrodził się wprost w inwektywę polityczną. W rzeczywistości bowiem lord Palmerston był zaciętym i integralnym wrogiem Rosji i planował wojnę o całkowite jej rozbicie, pragnąc do koalicji antyrosyjskiej wciągnąć Austrię. Jednym z celów takiej wojny (do której jak wiadomo, nigdy nie doszło) miało by być oderwanie od Rosji Polski, jak również Gruzji, Zakaukazji, Krymu, Besarabii i Finlandii.

Pisząc owe artykuły — jak wywodził Weintraub — Marx polegał na informacjach niejakiego Urquarta, angielskiego awanturnika politycznego, maniaka, który za cel swego życia uważał zwalczanie Palmerstona (w tym celu założył nawet „Towarzystwo dla obcięcia Palmerstonowi głowy"). Urquarta nikt prawie poważnie nie traktował gdyż powszechnie znane były jego ekstrawagancje i motywy osobiste skłaniające go do walki z ministrem spraw zagranicznych. Mimo to Marx oparł się na materiałach tego dziwaka gdyż pasowały one do jego własnych wspomnień młodości, gdy w Niemczech obserwował przekupywanie przez Rosję polityków tamtejszych oraz do teorii o solidarności klasowej. Palmerston-reakcjonista musiał, zdaniem Marxa, popierać reakcyjną, autokratyczną Rosję.

To charakterystyczne potknięcie wielkiego teoretyka socjalizmu — bynajmniej nie jedyne w jego życiu i pismach — jest bardzo pouczające. Mówi wiele o podszewce uczuciowej tego myśliciela i każe się zastanawiać skąd bierze się u obecnych marksistów wiara w nieomylność jego „ewangelii" ekonomicznej i filozoficznej?

W dyskusji, która wywiązała się po odczycie, podkreślono, że zarówno Marx, jak Engels sprawę polską traktowali tylko taktycznie: wysuwanie krzywd polskich było tylko środkiem do zrewolucjonizowania Rosji.

Jak widać z powyższego streszczenia, odczyt Weintrauba nie był nudny. Przeciwnie został opracowany i napisany (a nawet odbity jako oddzielny skrypt) bardzo starannie i interesująco. Nie ulega kwestii, że prelegent wywiązał się ze swego zadania uczciwie i bez zarzutu. Zachodzi jednak pytanie komu był potrzebny ten właśnie wykład i czy warto było zapraszać poważnego naukowca do opracowania tego nikłego i przyczynkarskiego tematu?

Jak powszechnie wiadomo, Instytut „Reduta" jest instytucją bardzo zasobną i zamożną. Wydaje się nam jednak, że pieniądze, którymi „Reduta" rozporządza, pochodzą ze źródeł publicznych i należało by się dobrze zastanowić, czy wydawane są celowo. Czy ten sam dr Weintraub nie mógłby wygłosić jakiegoś ogólniejszego, bardziej pasjonującego i bardziej związanego z istotnymi zagadnieniami Wschodu, albo choćby bardziej odkrywczego w sensie naukowym odczytu? W zakresie badań, które powinny wchodzić w program Instytutu Wschodniego, są dziesiątki, jeśli nie setki tematów o większej zaiste wadze gatunkowej, niż osiem oszczerczych artykułów Marxa napisanych przed 100 laty.

I jeszcze jedno. Może się mylę, ale wydaje mi się, że „Reducie" wcale nie zależy na słuchaczach. Odczyty tej instytucji ogłaszane są z wielką pompą (z podaniem numeru kolejnego odczytu etc. etc. naliczyłem 60 słów w płatnym ogłoszeniu) na kilka dni przed imprezą, tak, że przeciętny czytelnik „Dziennika" zapomina o nich, rzecz jasna, w dniu właściwym. Rezultat? Pusta sala — doliczyłem się na odczycie Weintrauba 25 słuchaczy — wraz z prelegentem i przewodniczącym. Odnosi się wrażenie, jakby nie chodziło o publicznoćś i służbę publiczną, lecz o punkt do sprawozdania rocznego z działalności tej równie zasobnej jak ekskluzywnej organizacji.

(sp)

NOWE FILMY

„Morning Departure"

„Morning Departure", choć nakręcony przed paru miesiącami, stał się szczególnie aktualny po tragicznym zatonięciu brytyjskiej łodzi podwodnej „Truculent", co spowodowało śmierć kilkunastu marynarzy. Film ten przedstawia bowiem zupełnie podobną historię. Łódź podwodna „Trojan" odpływa z portu na półdniowe, pokojowe ćwiczenia. Niespodziewanie zderza się z miną magnetyczną i idzie na dno. Część załogi ginie od razu, a dwunastu narynarzy zostaje uwięzionych w zatopionym okręcie. Okazuje się, że na pokładzie znajduje się tylko osiem specjalnych aparatów Davisa, umożliwiających wydostanie się na powierzchnię; czterech członków załogi a wśród nich dowódca łodzi (John Mills, świetnie gra) pozostaje na dnie, czekając na ratunek z zewnątrz. Zaczyna się długa i skomplikowana akcja ratownicza — usiłowanie wyciągnięcia łodzi za pomocą dźwigów umieszczonych na okrętach ratowniczych. Tymczasem wewnątrz okrętu-trumny odbywa się normalne prawie życie: marynarze grają w karty, notują ubiegające dni, aby nie stracić rachuby czasu, rozmawiają o rozrywkach i uroczystościach, czekających ich tam — na lądzie. Od czasu do czasu milkną i patrzą sobie w oczy. Nie skarżą się: przebywanie na dnie morza jest częścią ich służby, należy w gruncie rzeczy do ich obowiązków. „Dlatego dostajemy po pół korony dodatku za każdy dzień na morzu" — żartuje jeden z nich.

Akcja ratownicza idzie coraz gorzej,bo warunki atmosferyczne uległy pogorszeniu. Tam na dnie jeden z marynarzy umiera zatruty wyziewami chloru, drugi załamuje się psychicznie.. Dwaj trwają w dobrej formie.

Film nie ma happy endu — jak nie miała szczęśliwego zakończenia akcja ratownicza zorganizowana w celu wydobycia „Truculentu". Sztorm uniemożliwia dalsze próby ratunku. Po ciężkiej walce z sobą komendant grupy ratowniczej daje rozkaz przerwania akcji: dalsze jej prowadzenie naraża na pewną śmierć kilkudziesięciu ratujących. A tam jest tylko czterech. Oficer Admiralicji musi skazać ich na śmierć, aby nie ryzykować życia kilku dziesiątków. Patrzy w dół, w ciemność, w noc, myśląc o tamtych.

Rzeczowość, umiar i właściwe operowanie szczegółem na tle zwartej całości — oto zalety tego filmu, który dostarcza głębokich przeżyć właśnie dlatego, że jest tak prosty.

Z A P I S K I L O N D Y Ń S K I E

Brytyjskie wydarzenia kulturalne ostatniego okresu

ILE BĘDZIE KOSZTOWAŁ FESTIVAL W. BRYTANII

Urządzenie przyszłorocznego „Festival of Britain", o którym pisaliśmy już poprzednio, pochłonie ogromną sumę — ponad 10 milionów funtów. Wydatki, przewidziane na rok bieżący, obejmują £ 4.448.625; suma, przedłożona Parlamentowi na rok przyszły, jest jeszcze wyższa, wynosi bowiem £ 5.262.625, a wraz z wydatkami niektórych departamentów rządowych do £ 5.362.541.

Z tych przyszłrocznych wydatków największą sumę pochłoną budynki, a więc obiekty o trwałej wartości. Suma ta wyniesie £ 1.200.000. Jak wspominaliśmy, wśród budynków Festivalu znajdzie się wielka sala koncertowa, zbudowana wedle najbardziej nowoczesnych wymogów. Łącznie koszt tej sali i mieszczącego ją budynku wyniesie 2 miliony funtów. Na propozycję Króla Jerzego VI, do którego się w tej sprawie zwrócono, ów nowy przybytek muzyki nosić będzie nazwę „The Royal Festival Hall".

W przyszłorocznym budżecie Festivalu znajdują się nadto następujące większe pozycje: prace dekoracyjne i ogrody — £ 525.000, dekoracja i iluminacja ulic, łącznie z ogniami sztucznymi — £ 100.000, reklama, druki itd. — £ 368.000, płace 378 pracowników Festivalu — £ 260.000, honoraria dla architektów, rysowników itd. — £ 252.000.

Na terenie Battersea Park urządzone będzie „wesołe miasteczko" („fun fair"). Przewiduje się, że przyniesie ono ok. sto tys. funtów deficytu spowodu swego zbyt krótkiego trwania (6 miesięcy).

Budżet przyszłoroczny przewiduje powiększenie wydatków także na inne cele kulturalne. Tak więc wydatki na BBC wzrosną o £ 3.135.000 i łącznie wyniosą £ 17.285.000.

Wydatki ministerstwa oświaty preliminowane są na £ 192.080.305, tj. o £ 6.340.263 więcej niż w roku ub.

OŚRODEK MIESZKALNY DLA STUDENTÓW Z ZAGRANICY

Dokoła Mecklenburg Square w Bloomsbury, londyńskiej dzielnicy uniwersyteckiej, powstać ma w najbliższym czasie ośrodek mieszkalny dla studentów zza granicy, przede wszystkich dominiów brytyjskich i ze Stanów Zjedn. Dla zbudowania tego ośrodka, który pochłonie ok. 2 miliony funtów, utworzony został pod patronatem najwyższych osobistości brytyjskich tzw. Narodowy Fundusz Dziękczynny (National Thanksgiving Fund). Fundusz ma być wyrazem wdzięczności społeczeństwa brytyjsk. za pomoc żywnościową, jaką otrzymywało ono począwszy od r. 1940 od dominiów i od Stanów Zjedn. Jak stwierdził Lord Mayor Londynu, Sir Frederick Rowland z krajów tych Wielka Brytania dostała p o n a d 70 milionów p a c z e k żywnowych i 130 milionów funtów żywności do rozdziału — łącznie o wartości co najmniej 80 milionów funtów szt.

Na bankiecie w Guildhallu przemawiali, inaugurując Fundusz, Churchill, Attlee i wicehrabia Addison. Zadeklarowane zostały ofiary na Fundusz w wysokości £ 400.000.

NOWA SZTUKA ELIOTA

Ukazała się w wydaniu książkowym sztuka T. S. Eliota „T h e C o c k t a i l P a r t y" (Faber, cena 10 sh 6 d). Sztuka ta wystawiona została po raz pierwszy w r. ub. na festivalu w Edynburgu, obecnie zaś grana jest z wielkim powodzeniem w Stanach Zjednoczonych.

Nie spotkała się ona natomiast z życzliwym przyjęciem wśród niektórych brytyjskich recenzentów jej wydania książkowego. W „Sunday Times" John Russell zarzuca Eliotowi ponurą nienawiść szczęścia ludzkiego, mizogynie i tęsknotę do karania.

Inni recenzenci podkreślają religijny aspekt sztuki. Mimo błahej osnowy — jest to historia małżeństwa, które po różnych konfliktach znowu się godzi, — „Cocktail Party" stanowi głęboki komentarz do współczesnej moralności.

Sztuka wystawiana ma być nie długo także w Lodynie.

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno Kulturalny. Wydaje: Veritas Foundation Publication Centre. Adres redakcji i Administracji: Polish Weekly ŻYCIE, 12 Praed Mews, London W 2. Telefony: Redakcja i Administracja: AMB 6879. Drukarnia: PAD 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: Codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt t y l k o od godz. 3.30 — 4.30 po poł. Administracja czynna codziennie od godz. 9 — 13 i od 14 — 17 — z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja żadnych rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach na ew. zastrzeżony zwrot prosimy dołączyć znaczki pocztowe. P r e n u m e r a t a płatna jest z góry i wynosi: miesięcznie 4/6, kwartalnie 13/-, półrocznie 26 sh. Wszelkie wpłaty przekazywać należy Postal lub Money orderami, względnie czekami bankowymi „crossed" wystawionymi na Veritas Foundation Publication Centre. CENY OGŁOSZEŃ: 1 cal przez 1 łam £ 1; w tekście 50% drożej, na stronie tytułowej 100% drożej. P r e n u m e r a t a zagraniczna: SZWECJA: miesięcznie 3.50 kr., kwartalnie 10.00 kr. Przedstawiciel: Mgr. Bożysław KUROWSKI. Anggatan 6 c, Lund, Sverige, Sweden. NIEMCY: miesięcznie 2.50 DM. kwartalnie 7.00 DM. ARGENTYNA: kwartalnie 12 peso półrocznie 24 peso. Przedstawiciel: J. MIECZNIKOWSKI & T. DĄBROWSKI Składnica Książki Polskiej. Av. Leandro N. Alem 641 — Buenos Aires.

Printed by: „Veritas Foundation Press" 12, Praed Mews, London W. 2. Tel. PAD. 9734.